Nr. 34 (1493). Warszawa, 21. Sierpnia 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Czesi i my.

Przebrzmiały radosne okrzyki „Na zdar!"—rozwiały się ostatnie dźwięki pieśni „Kde domow moj", zwiędły kwiaty i girlandy, zwinięto biało-czerwone flagi — przeminął świąteczny nastrój, przyszła pora spokojnej rozwagi i trzeźwego obrachunku. Co nam pozostało jako realna korzyść z wizyty czeskiej, jakie jej znaczenie na dziś, jakie jej rezultaty na przyszłość?

Nie szukajmy ich określenia w mowach toastowych. W każdej z nich — z natury rzeczy — było więcej uczuć niż myśli, uczuć zawsze szczerych i prawdziwych, myśli urywkowych, połowicznych, często zupełnie błędnych.

Wezbrały serca na widok tak licznej delegacji bratniego narodu, który przyszedł nas odwiedzić pod naszą smutną, wichrami starganą strzechą, tam, gdzie jesteśmy u siebie, zawsze sami ze swoją troską i swoją niedolą.

Rozpromienione twarze, odświętne szaty nie mogły jednak zasłonić przed gośćmi tego, co jest tłem naszych codziennych nastrojów. W biesiadne puhary sączyła się zawsze jakaś łza rozrzewnienia, w dźwiękach pieśni brzmiały westchnienia tłumione. Tylko w okrzykach „Na zdar!" mogliśmy pełną piersią się odzywać. Mowy nasze złożone z półsłówek, wypowiadały głosem stłumionym zaledwie część tego, coby powiedzieć chciały. Na szczęście, bracia Czesi usłyszeli nawet nasze milczenie, dośpiewali w duszy słowa niedopowiedziane, najwymowniejsze.

Nie ludzie ich objaśniali — lecz fakty same.

Burmistrz Grosz usłyszał, że choć podnóże pomnika Mickiewicza nie po raz pierwszy u nas wieńcami zakwitło — mowa jego była pierwszym w słowa ujętym hołdem, złożonym u stóp wieszcza. Profesor Kadlec życząc nam polskich szkół elementarnych i średnich oraz polskiego uniwersytetu — wiedział, że daje wyraz najgorętszym pragnieniom swych słuchaczy, którzy jednak dla urzeczywistnienia ich nic więcej uczynić nie mogą jak okrzykami „Slawa" i „Wybornie" podkreślić pobożne życzenie zacnego profesora. Poseł morawski Fiszer cytując słowa Kościuszki: „Pierwszym krokiem do wolności jest tęsknota za nią, a pierwszym krokiem do zwycięztwa — poznanie własnej siły" — dał nam wręcz odwrotną naukę niż ta, jaką nam w swym liście sędziwy Prus od Czechów czerpać zalecał, kazał nam bowiem szukać zbawienia w tym — co było zawsze i być musi treścią naszej polityki, kiedykolwiek się do niej zabierzemy, wbrew ostrzeżeniom rozważnych starców, upatrujących w niej naszą zgubę.

A gdy drugi poseł morawski, d-r Bulin po polsku cytował słowa modlitwy Mickiewicza „O broń i orły narodowe prosimy cię Panie!" — to już naszych największych marzycieli i zapaleńców politycznych dreszczyk przejąć musiał...

Oto co mówili u nas i do nas ci trzeźwi, praktyczni Czesi, którzy zdaniem Prusa „mają dziś i wysoką cywilizację i dobrą politykę". My zaś, którzy „mamy opłakaną cywilizację i kajdanami brzęczącą politykę" mogliśmy pokazać Czechom tylko nasze resursy, nasze kościoły, cukiernie, teatr, kluby sportowe — i jako maximum tryumfu narodowego — wystawę przemysłową w Częstochowie. Młodzież polska, która idąc za radą Prusa pojedzie w Złotej Pradze zwiedzać czeskie szkoły, przytułki, szpitale, więzienia — choćby pragnęła, nie może ani przenieść na naszą ziemię podobnych instytucji, ani nawet odwzajemnić się młodzieży czeskiej, pokazując im, jakie u nas są szkoły, więzienia i t. p.

Na stwierdzeniu tych różnic, na zmierzeniu tej ogromnej przepaści, jaka dzieli wzory czeskie od wa-

runków warszawskich, budujące frazesy toastowe od szarej rzeczywistości codziennej, nasze ideały i pragnienia od ich praktycznej wykonalności — polega najcenniejsza obustronna zdobycz z polsko-czeskiego zbliżenia. Słusznie zaznaczył jeden z mówców naszych zwracając się do Czechów: „Radosne oblicza wasze są dla nas przykładem, jak się żyje, gdy się korzysta z pełni praw obywatelskich”. Ten przykład chcielibyśmy naśladować, ale czy nawet Prus zechce się łudzić, że dojdziemy do tego zwolna przez systematyczną i wytężoną fabrykację kilimków, guzików, konserw owocowych lub maszyn rolniczych?

„Tajemnicą powodzenia” Czechów nie jest rozwój ich rolnictwa, przemysłu, oświaty — ale tajemnicą ich kulturalnego rozwoju, pomyślnych rezultatów ich pracy jest raczej ta pełnia praw obywatelskich i ta suma narodowej samodzielności, którą się oni cieszą już od lat 40-stu.

Tak często i tak nadmiernie nas obmawiali i oskarżali obcy, że nie potrzebujemy się już obmawiać sami. Gdybyśmy zsumowali w jedną całość ten ogrom wysiłków, jakie u nas w Królestwie Polskim w ciągu tegoż samego czasu włożono w czysto kulturalną pracę i gdybyśmy to wszystko przenieśli na tło warunków politycznych, w jakich się rozwijają Czesi — kto wie, jakieby jeszcze między nami a nimi pozostały różnice i kto kogo mógłby podziwiać. Zdaje się, że goście nasi czescy już to rozumieć zaczynają — i że to będzie ich realna zdobycz z wycieczki do Polski.

Zeszłoroczne uroczystości w Pradze i obecne w Warszawie stwierdziły, że oba bratnie narody garną się do siebie całym sercem, że przyjaźń między nimi już się zawiązała — chodzi tylko o oparcie jej na dokładnej znajomości, na głębszym zrozumieniu. Od zeszłego roku już i w tym kierunku zaznacza się wielki postęp. Treść telegramu dr. Kramarza świadczy sama przez się, że nawet inicjator niefortunnych neosłowiańskich misji apostolskich dziś już zrozumiał, w czym leżał błąd dotychczasowej polityki czeskiej, w czym główne źródło nieporozumień między nami.

W Czechach idea słowiańskiej wzajemności nietylko jest popularna i głęboko zakorzeniona ale dzięki specjalnym historycznym warunkom splotła się w nierozerwalną całość z czeską ideą narodową. Wspomnienia Grunwaldu i marzenia o wznowieniu grunwaldzkich tryumfów są tam zawsze świeże i żywotne— a pruski hakatyzm pracuje nad tym, by i w polskim społeczeństwie tradycyje te nie wygasły.

Ale nasza historja nie jest tak prostolinijna, tak mało skomplikowana. U nas po Grunwaldzie było jeszcze wiele kart krwawych, których nie zmyje gąbka wzajemności słowiańskiej. Uczyliśmy się ściśle odróżniać ideały rasowe od narodowych — a w treść tych ostatnich spłynęły nie plemienne sympatje, lecz ogólno ludzkie prądy wolności, równości, braterstwa. I my kochamy to, co Czesi nazywają; „duszą słowiańską” — tylko my to określamy inaczej — a określamy trafniej. Wspólna dola, wspólne dążenia, cześć dla tych samych haseł i ideałów, — walka z tymi samymi potęgami ciemności — oto co nas łączy z braćmi Czechami i co nas połączyć i zbratać może ze Słowakami, Chorwatami, Bułgarami, Serbami, co nas zbliżało lub zbliża do Rosjan w chwilach budzenia się wśród nich „duszy słowiańskiej”, jak mówią Czesi, ducha wolności, równości i braterstwa — jak określamy — my.

I my z grozą i nienawiścią patrzymy na niemiecki „Drang nach Osten”—nietylko dla tego, że on ciężkim brzemieniem gniecie barki naszych rodaków w Poznańskim, lecz i dla tego także, że Niemcy współczesne stały się dla Europy twierdzą reakcji, gniazdem zaborczego nacjonalizmu, rozsadnikiem duchowego barbarzyństwa. Rozumiemy i czujemy to dobrze, że przepaść między nami a nimi wyżłobiły nie różnice rasowe, (boć nie mamy żadnej niechęci do Duńczyków Szwedów, Anglików) — lecz długie rachunki krzywd doznanych, lecz te ostre szpony pruskiego orła ociekające naszą krwią.

Charles van Lerberghe.

Nadprzyrodzony wybór

przełożył M. SACHS.

(Dokończenie).

I książę zamierzał zwrócić się z pożegnaniem i do przedmiotów nieżyjących, lecz Saturn niepostrzeżenie podniósł kotwicę. Okręt lekko zakołysał się na falach.

Książę, stojąc na pokładzie, długo spoglądał na wygnańców. Przemówienia jego wzruszyły słowa i stały one nieruchomo na brzegu, jakby wciąż jeszcze zasłuchane w dźwięk głosu jego. Lecz skoro zniknęły mu z przed oczu, książę zrozumiał naraz, że oto oddala się od ludzkości. I serce jego stało się śmiertelnie smutnym. Ukrył twarz w dłoniach i począł rzewnie płakać.

Nagle zerwał się wicher. Morze stało. Okręt z szybkością strzały sunął po wspienionych falach; jak łupina nędzna, to się unosił to spadał, to chwiał się i kołysał, że zdawało się, iż za chwilę padnie na bok i pójdzie na dno w wir morski. Potężny bałwan przeskoczył po przez pokład.

— Panie, rzekł Saturn — jeśli nie mamy zginąć, musimy niezwłocznie precz wygnać z okrętu czasowniki ruchu. Przed chwilą byłem na spodzie. Nie można ich uspokoić. Niby szaleńcy wściekli, rzucają się bezładnie to w lewo, to w prawo. Uczynią, iż okręt nasz się przewróci.

— Precz wygnać czasowniki ruchu? — zawołał książę. Tak sądzisz? Azaliż nie mogą być one potrzebne duszy mej? — pomyślał chwil kilka, wreszcie dodał: — Masz słuszność; dusza ma bowiem to — spokój, jeśli zaś w niej coś się rusza — to jedynie pragnienie, siła, chcenie — a tych uczuć nie może ująć w dźwięk ani jeden z tych brutalnych wyrazów ruchu.

Na najbliższej wyspie Saturn zostawił słowa, oznaczające ruch, i widać było jak leciały, biegły, skakały i miotały się bezładnie na jej skalistym wybrzeżu.

Co noc stary sługa przyprowadzał przed oblicze pana swego pewną ilość słów z pośród tych, które książę pragnął wówczas widzieć. Rozstawiał je w szeregi, a książę Cyntji w milczeniu i zapamiętaniu przy-

Swą wycieczkę po ziemiach polskich rozpoczęli Czesi od Krakowa, skończą, jak słusznie, na Poznaniu, o ile policja pruska nie wydali ich, jako „uciążliwych cudzoziemców”, co jest wielce prawdopodobne.

Marzenia o nowym Grunwaldzie doznają nowej podniety w dzielnicy, gdzie wprawdzie idea wzajemności słowiańskiej więcej niż w innych przyspiesza bicie serca, gdzie jednak jawnym wylewom uczuć stanie na przeszkodzie paragraf językowy i stały wzgląd policji na „bezpieczeństwo publiczne”—a tajnym, lękliwość, potulność i lojalność naszych ziomków. Ujrzą tam Czesi polski naród pod nową zupełnie postacią, ideały życiowe Prusa w smutnej karykaturze: znaczny rozkwit materjalnego dobrobytu, zupełną abdykacją z aspiracji politycznych i najskromniejszych nawet marzeń o wolności, a w rezultacie absolutny zanik polskiej kultury i twórczości duchowej.

I może po tej lekcji poglądowej gieografji Polski zarysuje się w oczach naszych przyjaciół czeskich — kwesja polska w swej całości, jako ciężko pogmatwany węzeł polityki słowiańskiej, wielkie historyczne zagadnienie, którego rozstrzygnięcie ściśle jest związane z losami ludów europejskich, i z losami ich własnego narodu. Może w dawnym braterstwie broni Zyżki, Jagiełły, Witolda zmagających się z nawałą krzyżacką, może w nowym marzonym Grunwaldzie, który ma to braterstwo wskrzesić — ujrzą coś znacznie głębszego niż walkę dwuch ras — bo walkę dwuch światów, dwuch idei, dwuch epok.

Autonomja Galicji a reforma wyborcza do sejmu krajowego.

I.

Konstytucja austryjacka zalicza do kompetencji Rady Państwa (parlamentu wspólnego): ustawodawstwo dotyczące służby wojskowej, spraw celnych, handlowych, finansowych, monetarnych, bankowych, poczt, telegrafów, kolei żelaznych i innych środków komunikacji; — obywatelstwa państwowego, kontroli nad cudzoziemcami, paszportów i spisu ludności: patentów przemysłowych, miar i wag; — lecznictwa epidemji i zaraz zwierzęcych; — stosunków wyznaniowych, stowarzyszeń, zgromadzeń, prasy, praw autorskich; — głównych zasad organizacji szkół ludowych, średnich zakładów naukowych, oraz wszystkich spraw dotyczących uniwersytetów; — prawa karnego, cywilnego (z wyjątkiem wewnętrznego urządzenia ksiąg gruntowych w poszczególnych krajach, co pozostawione jest sejmom krajowym), handlowego, górniczego, morskiego i leśnego; — spraw wspólnych monarchji t. j. Austrji i Węgier (gdyż tak zw. delegacje nie mają władzy ustawodawczej, uchwalają natomiast coroczny budżet na sprawy wspólne, decydują o sposobie użycia i spłatach pożyczek, wreszcie wykonywają kontrolę nad wspólnymi ministrami).

Rada Państwa zatwierdza też: traktaty handlowe z obcymi państwami i te z pośród politycznych, które pociągają za sobą obciążenie państwa lub jego części, nakładają zobowiązania na poszczególnych obywateli, albo zmieniają granicę państwa; coroczne oznaczenie ilości rekruta; budżet roczny Austrji, zaciąganie długów, oznaczenie kwot, jakie Austrja ma wnosić na wydatki wspólne całej monarchji.

Ta sama konstytucja austryjacka nadaje sejmom krajowym, w statutach krajowych, następującą atrybucję: wszystkie zarządzenia w sprawach — kultury krajowej, budowli publicznych, stawianych kosztem kraju, zakładów dobroczynnych przez kraj utrzymywanych, budżetu krajowego; szczegółowsze zarządzenia, w granicach ogólnych ustaw państwowych uchwalonych przez Radę Państwa w sprawach gminnych, kościelnych i szkolnych, podwód dla wojska, zaopatrzenia i kwaterunku; wreszcie zaciągania pożyczek krajowych i uchwalania dodatków do podatków państwowych na potrzeby państwowe. Wszystkie przedmioty ustawodawstwa nie zastrzeżone wyraźnie w ustawie dla Rady Państwa, należą do kompetencji sejmów krajowych.

Parlament centralny wolą swoją nie może jednostronnie zmieniać kompetencji sejmów krajowych, wyraźnie zaznaczonej w statutach krajowych. Statuty krajowe mogą być zmienione tylko za zgodą sejmów krajowych.

---

glądał się im aż do świtu. Niekiedy zbliżał się do któregoś z nich, badał je wzajem uważnie wzrokiem, potym smutny i zgnębiony odwracał się odeń i wracał na swe poprzednie miejsce.

Pewnego razu, gdy Saturn przywiódł grupę słów najdelikatniejszych i najsubtelniejszych, książę zauważył, że wśród nich jedno było złamane i dotkliwie poranione; słowem tym — była dobroć.

— Naturalnie, — rzekł Saturn, — zbyt dobrą jest, by się bronić, pewnie kiedyś głowę jej utną.

— Co? — zapytał książę zdziwiony — czyż one się biją?

— I we dnie i w nocy, bo nawet śpiąc wizjami i marzeniami staczają zapamiętałe bójki. A jeśli ty, panie, tego nie słyszysz, to jedynie dla tego, że najhałaśliwsze z nich zostały wygnane, lecz i to nawet walk nie złagodziło. Próbowałem już niejednokrotnie zaprowadzić wśród nich ład jakiś i porządek, ale daremnie, podzieliły się na dwa wrogie sobie obozy: na prawo ulokowały się — abstrakcyjne, na lewo zaś — konkretne, i napadają na siebie wzajem.

— Wyrzuć słowa konkretne, — rzekł książę — albowiem w duszy mojej niema nic konkretnego. Nawet gwiazda wieczorna i lekki wietrzyk poranny nie mogą jej dorównać.

Na pierwszą napotkaną wyspę Saturn wyrzucił grupę słów konkretnych. Wobec tego, że wiele z nich już poprzednio było wydalonych z okrętu, pozostały jedynie bogate i pyszałkowate. Zdawaćby się mogło, że to pochód jakichś niezwykle ważnych i dostojnych osobistości. Skoro tylko jednak one dostały się na brzeg, Saturn wnet przebiegł na pokład i machając rozpaczliwie rękoma, krzyczał:

— Ach panie, ledwo pozbyliśmy się konkretnych, a już na spodzie okrętu znów wre walka. Teraz abstrakcyjne pomiędzy sobą bój wiodą. Jeszczem nigdy nie widział bardziej okrutnej i zawziętej bijatyki. Większość słów abstrakcyjnych należy do stanu uczonego lub duchownego, a wzajemna nienawiść ich granic nie zna i złagodzić się nie da. Panie, pozostawmy i abstrakcyjne słowa uczonym i księżom. Azaliż ty, książę, nie jesteś poetą?

Po krótkim namyśle książę odrzekł:

— Dobrze, zostawmy na wyspie i abstrakcyjne.

Wyszły na brzeg wyniośle i poważnie, lecz ani na chwilę nie przestawały głośno i kłótliwie krzyczeć i czynić jakichś przekonywających ruchów i giestów. Po większej części słowa te były długie i chude, blade i chorowite. Gdy je tylko zoczyły konkretne, rzuciły się zaraz na nie, jak rozjuszone stado zwierząt dzikich. To jednak zupełnie nie przeszkadzało abstrakcyjnym toczyć bójki w dalszym ciągu.

W praktyce parlamentarnej w Austrji, w poszczególnych wypadkach nasuwały się wątpliwości co do niektórych spraw: czy należą one do kompetencji parlamentu centralnego, czy też sejmów krajowych. Przy uchwalaniu reformy wyborczej do parlamentu centralnego w 1907 roku, na wniosek członka Koła polskiego posła Starzyńskiego, autonomja krajów rozszerzoną została przez następujące postanowienie które weszło do ustawy konstytucyjnej:

„W sprawach, które wskutek tego należą na mocy statutow krajowych i niniejszej ustawy zasadniczej do zakresu działania ustawodawstwa krajowego, może toż ustawodawstwo wydawać potrzebne do uregulowania przedmiotu postanowienia także w dziedzinie prawodawstwa sądowo-karnego i policyjno-karnego, tudzież prawodawstwa cywilnego.

Do zakresu działania ustawodawstwa krajowego należą także takie zarządzenia w przedmiocie organizacji państwowych władz administracyjnych, które zawarunkowane są przez przysługującą ustawodawstwu krajowemu kompetencję do organizacji samorządnych władz administracyjnych, a poruszają się w granicach zasad zastrzeżonych na mocy § 11 lit. l, niniejszej ustawy zasadniczej ustawodawstwu państwowemu."

Powyższe ustępy ustawy zabezpieczają poszczególnym krajom: możność wydawania postanowień prawno-karnych, prawno-prywatnych i policyjno-karnych dla uregulowania spraw podległych kompetencji sejmów oraz pewien współudział w ustawodawstwie określającym organizację państwowych władz administracyjnych.

Wspomniany poseł Starzyński postawił jeszcze jeden wniosek także przyjęty przez parlament, zawierający rezolucję objaśniającą co należy rozumieć przez kulturę krajową, którą, jak widzieliśmy — konstytucja austrjacka zaliczyła do kompetencji sejmów krajowych.

Uchwała parlamentu brzmi:

„...do spraw kultury krajowej, zastrzeżonych dla ustawodawstwa krajowego, należą sprawy dotyczące, rolnej i leśnej produkcji, tudzież obrabiania i użytkowania objętych tą produkcją przestrzeni kraju, jakoto: leśnictwo, myśliwstwo, rybołówstwo, chów bydła, policja polowa, środki dla zwalczania szkodników polnych i lasowych, używanie wód, nadawanie im kierunku i ochronę przed nimi, meljorację, zabudowania potoków górskich, regulacja i wykupno praw użytkowania lasow i łąk i t. d.; następnie wszystkie sprawy ustroju agrarnego, jakoto postanowienia w przedmiocie wolnopodzielności gruntów, względnie ograniczenia wolnopodzielności, postanowienia o włościach rentowych, o specjalnych regułach podziału spadków, składających się z nieruchomości włościańskich, o operacjach agrarnych i t. d.; tudzież udział w regulowaniu rolnego kredytu, w organizacji stanu zawodowego rolniczego i leśnego, w unormowaniu stosunków czeladzi rolniczej i leśnej i t. p."

W ten sposób pojęcie kultury krajowej zostało sprecyzjowane celem usunięcia sporów co przez nią rozumieć neleży.

Oczywiście wszystkie uchwały sejmu jak i parlamentu, aby stać się prawami, muszę być zatwierdzone przez cesarza. Chcąc uchwale powyższej zapewnić trwałość, polskie sfery polityczne wniosły ją do sejmu galicyjskiego żądając aby weszła do statutu krajowego. Sejm ją przyjął a cesarz zatwierdził. Skutkiem tego nie może już być ona obecnie zniesioną skutkiem jednostronnej woli parlamentu centralnego, bez zgody sejmu.

Autonomja Galicji polega nie tylko na powyższej kompetencji sejmu krajowego, lecz jeszcze na: Radzie Szkolnej krajowej, kierującej niższymi i średnimi zakładami naukowymi, oraz na charakterze administracji, nietylko krajowej, zależnej od władz autonomicznych, ale i państwowej do niej równoległej, zależnej od rządu centralnego.

O Radzie Szkolnej krajowej, oraz o autonomicznych i państwowych władzach w Galicji pomówię w artykułach specjalnych, obecnie zatrzymam się tylko na stosunku namiestnika do kraju i państwa.

Namiestnik Galicji, w teorji jest przedstawicie- władzy państwowej w kraju, reprezentantem cesarza; w praktyce jest oprócz tego mężem zaufania Koła polskiego w Wiedniu i sejmu krajowego. Ta podwójna rola namiestnika nie jest łatwą do spełnienia i nadaje mu duże znaczenie. Teoretycznie namiestnik jest podległy ministrom i wykonawcą ich woli; faktycznie jest dygnitarzem samodzielnym, z którym nieraz ministrowie muszą się bardzo liczyć. Namiestnik Galicji zazwyczaj korzysta z dużej swobody, większej niż jego koledzy w innych krajach koronnych. Kazimierz Badeni i Andrzej Potocki liczyli się stosunkowo mało

---

— Uciekajmy stąd czemprędzej — zawołał książę — widok tej potwornej zgrai napawa mnie wstrętem i lękiem.

Lecz Saturn nie odsuwał okrętu od brzegu.

— Ach, — mówił z jękiem, — gdybyśmy tak pozbyli się teraz tych ciężkich brukowców, którymi ciskali oni w siebie.

— O jakich brukowcach mówisz? — zapytał zdziwiony książę.

— O przysłówkach, panie, które zawalają nam przejścia wszystkie i okręt nasz czynią podobnym do barki, naładowanej cegłami. Oto jeden z nich,—rzekł wskazując wielki kwadratowy przysłówek, ważący conajmniej dziesięć funtów, — wyrwałem go z rąk pewnej osoby duchownej.

Ażeby dobitniej przekonać księcia, Saturn rzucił słowo na pokład i od uderzenia tego okręt cały zadrżał i zakołysał się raptownie na falach.

— Rzuć je w toń morską, — rzekł książę. Cóż ma wspólnego dusza moja z owymi przysłówkami?...

I Saturn dzień cały, jak wyrobnik, układał przysłówki na taczkach a potym wrzucał do morza. Gdy skończył tę uciążliwą pracę, podniósł kotwicę i rozwinął żagle. I okręt pomknął po falach lekki i zwinny, jak piórko. Dzień chylił się ku końcowi. Złoty mrok niby welon przejrzysty, osłaniał księżyc. Morze było spokojne i ciche, nawet tchnień jego słychać nie było. Nadeszła godzina marzeń i rojeń.

Saturn siedział u nóg pana swego, a ten mówił doń:

— Zaczynam dokładniej i jaśniej widzieć wnętrze duszy mojej. Zdobyliśmy spokój i milczenie i podróż swą odbywamy w krainie piękna. Dziś, Saturnie odpoczniesz, boś zmęczony jest bardzo; lecz jutro precz wygnasz z okrętu wszystko, co brzydkie jest i stare, nędzne i chore, albowiem moja zdrowa dusza to — wieczysta młodość. Precz wygnasz to wszystko, co płacze, jęczy i cierpi, albowiem mego cierpienia nie jest w stanie wyrazić żadne inne cierpienie, gdyż jest ono raczej jakimś smutnym, gorzkim weselem. Niechaj zostanie na okręcie to tylko, co czyste jest i promienne, bezgłośne i spokojne, co podobnym jest do owych pięknych jaśniejących nocy, śród których suniemy po morzu. I długo jeszcze mówił tak Saturn, aż wreszcie obaj zasnęli, pozostawiwszy okręt na wolę losu.

Następnego dnia książę zapragnął zwiedzić dolne przegrody okrętu; zdarzyło się to po raz pierwszy podczas ich całej podróży. Schodzili razem, lecz na pierwszych zaraz stopniach książę zatrzymał się niespokojny nie mogąc tchu chwycić.

— Dlaczego tu nie można oddychać?—zapytał.

z ministrami. Oczywiście w każdym poszczególnym wypadku dużo tu zależy od indywidnalności namiestnika, od sfery towarzyskiej do jakiej należy i od stosunków osobistych z dworem.

Faktycznie więc chociaż namiestnik Galicji nie jest przed sejmem odpowiedzialny, to jednak, zarówno on sam jak i jego podwładni urzędnicy państwowi, liczyć się muszą i liczą bardzo z pragnieniami tych sfer politycznych, które w Sejmie i w Kole polskim mają przewagę. Kompetencja sejmu galicyjskiego, jak widzieliśmy, nie jest bardzo rozległą: ogólne ustawodawstwo cywilne, karne, prawodawstwo fabryczne, górnicze, organizacja sądownictwa, wyższa oświata — należą całkowicie do parlamentu centralnego.

Średnia i niższa oświata regulowana jest w ogólnych zarysach przez ustawy parlamentarne, w granicach ich jednak kraj może wprowadzać pewne modyfikacje w ich zastosowaniu. Kraj może mieć swoje własne zakłady naukowe jak: szkoły przemysłowe, rolnicze rozmaitych typów i stopni. Posiada też je i decyduje o ich organizacji. W zakresie spraw finansowych autonomja Galicji jest bardzo wadliwą: Sejm uchwalać może tylko dodatki do podatków ogólnopaństwowych, które są jedne w całym państwie. Skutkiem tego kraj musi stosować się w tym względzie do ogólnego szablonu, i nie może przystosowywać swojej finansowości do swojej specjalnej struktury gospodarczej.

(D. n.) *Ludwik Kulczycki.*

W Rosji.

Wielką sensacją, trwającą już od paru miesiący jest obecnie rewizja senatora Garina, dokonywana w intendenturach. Po wykryciu strasznych skandalicznych nadużyć w Moskwie przyszła obecnie kolej na Kijów. Członek komisji, p. Busło, dokonał rewizji nietylko w składach intendentury, ale także u wielkich dostawców. Jeden z nich zaopatrywał intendenturę w trzech okręgach: kijowskim, moskiewskim i warszawskim. Okazało się, że znikały bez śladu całe wagony z koszulami. Buty dostarczano zupełnie niezdatne do użytku. Dwustu tysięcy papach (czapek kosmatych barankowych), zamówionych przez intendenturę moskiewską w Kijowie, żołnierze na polach Mandżurji nigdy nie oglądali.

Niezmiernie ważną rolę w dostawach dla intendentury odgrywały łapówki i w tym właśnie tkwi główne źródło przestępstw. Na łapownictwie cały system był oparty. Do jakich olbrzymich rozmiarów doszły te nadużycia, świadczy obawa, wyrażana całkiem poważnie przez niektórych publicystów rosyjskich, że pociągnięcie do odpowiedzialności wszelkich dostawców może wywołać ogromny krach ekonomiczny, gdyż upadną pierwszorzędne, bogate firmy, które są duszą handlu i dają pracę dziesiątkom tysięcy ludzi. Tknąć tych panów, to będzie ruina!

Wszyscy dostawcy podczas rewizji i badań szczerze się przyznają, że wszelkie tranzakcje z intendenturą były oparte na łapownictwie, że dawali oni łapówki nietylko gotówką ale i w naturze — ciałem kobiecem lub ułatwieniami tego rodzaju przyjemności. Słowem komisja senatora Garina otworzyła potworny, cuchnący wrzód, który w znacznej części był przyczyną klęsk wojennych. Dopiero po katastrofie, po wstrząśnieniach rewolucyjnych dokonano cięcia chirurgicznego, ale czy skutecznie? Operacja dokonana, ale podłoże, na którym tworzą się takie wrzody, pozostało. System wszelkich dziedzin gospodarki wcale się nie zmienił, przeciwnie, z chwilą wzrostu reakcji, popieranej przez „związkowców", dawne podstawy i systemy jeszcze bardziej się wzmocniły. Zamiast reform zasadniczych, uzdrawiających warunki bytu ludności, rozwija się typowe z czasów Szczedrynowskich „czynopoczytanje". Na tym się opiera oświata, gospodarka gminna, gospodarka miejska i wogóle całe życie. Zwyczajem ludów wschodnich, wszelkiego rodzaju „rewizory" czujący władzę w swej pięści, przedewszystkim mają na względzie utrzymanie swej powagi, wzniecenie postrachu, na ostatnim zaś planie stoją potrzeby ludności i jej prawo do życia.

W tych dniach *Riecz* podała znamienny obrazek z życia, który tak wygląda jak gdyby był wykrajany z satyry-bajki. Gdyby nie nazwiska, nie nazwy miejscowości, nie fakta stwierdzone i poręczone przez pismo, można byłoby przypuścić, że się pojawił jakiś nowy Szczedryn w piśmiennictwie rosyjskim. Oto co pisze *Riecz* p. t. „Najazd gienerała Babicza": „Niedawno nasze ciche miasteczko Majkop w obwodzie Kubańskim było świadkiem takiego widowiska: na czele posuwał się groźny jeździec konny z jaskrawo czer-

---

— To od zapachów, — odrzekł Saturn. Zostawiłem je, niewiedząc napewno, czy mają coś wspólnego z słowami konkretnymi czy też abstrakcyjnymi; unoszą się one, jak dusze. Są to: heljanty, heotropy i selenautemy, kwiaty najrzadsze i najbardziej wonią swą odurzające na całej kuli księżycowej.

— Na co mi ta cała perfumerja? — zapytał książę. Otwórz wentylatory. Dusza ma nigdy nie znajdzie wyrazu w woni kwiatów.

Saturn natychmiast otworzył wentylatory i zapachy szybko się ulotniły.

Szli dalej wzdłuż okrętu. Wszystko było starannie ułożone, równo, porządnie, i rozmieszczane na deseczkach. Z początku ujrzeli rodzaje, zaimki, każdy na swym określonym lub nieokreślonym miejscu. Tuż koło nich leżały przyimki, spójniki i wykrzykniki, cała ta kupa zardzewiałego żelaziwa, tak potrzebna do łączenia, skuwania i spajania gwintami myśli. To nie zajmowało dużo miejsca i przypominało wystawę sklepową składu odłamków żelaznych.

— To niełądne, — rzekł Saturn, — lecz pożyteczne.

— Jeszczeby! — powiedział książę. Wiem, że są ludzie, którzy budują ze słów pałace, zamki, świątynie, wieże, fontanny i są tacy, których sam widok tych pomysłowych architektonicznych budowli wprowadza w zachwyt. Lecz ja nie należę ani do jednych ani do drugich.

Przeszli szybko koło kilku rzeczowników, które jakimś dziwnym, niepojętym trafem ocalały podczas wielkiego wygnania, minęli czasowniki spokoju i skrytego ruchu, które, wobec dziennej pory, spały wszystkie.

— Nawet wtedy, gdy działają, — objaśniał Saturn, — zdają się też spać. Niby żmije. Są to stworzenia dziwaczne, zagadkowe; zbytnio im też nie ufam. Żyją one i ruszają się wewnątrz; są jakby przeciwieństwem wielu innych stworzeń, które są wewnątrz martwe lub śpiące, natomiast żyją na zewnątrz.

Jakiś niebywale lśniący przedmiot, spoczywający na samym prawie końcu galerji słów, zwrócił na siebie uwagę księcia i zwabił go ku sobie. Na tym, gdzie i on, miejscu leżały całe stosy takich nieocenionych skarbów, iż zdawało się, że ktoś nagromadził tu wszystkie cuda, uroki i piękności świata całego.

— To przymiotniki, — informował w dalszym ciągu Saturn, — ilość ich jest niezliczoną, lecz ja pozostawiłem na okręcie tylko najpiękniejsze i najcenniejsze: te, które są najczystszej wody, te które są przezrocze, promieniste, rzadkie, oślepiające.

— Dosyć, — odrzekł książę, — zbytek ten nie przypada mi do gustu. Czyż jestem jubilerem? Dusza

woną chorągiewką w ręku za nim szły dwa powozy, otoczone silnym oddziałem kozaków. To był wjazd atamana obwodu, gien. Babicza. Zaczął od zwiedzania szpitala. Czemu nikt nie wyszedł na powitanie? Gdzie lekarze?... Należy wcześniej rozpoczynać przyjęcia... Felczerka? Ręce opuścić! Skąd? — Z gub. Wiackiej — odpowiada głowa miasta. — Po co przyjmujecie z takiej krnąbrnej gubernji? Czyż niema swoich? — Szpital ubogi. Sami tylko robotnicy przychodni. — Nie płacą? — Skądże mogą płacić mając po 1 — 2 dzies. gruntu! — Jeżeli nie mogą płacić, to niech nie przychodzą do szpitala!... Następnie ataman raczył udać się do szkoły realnej. Jak pan trzymasz ręce! — krzyknął zobaczywszy nauczyciela! — Uśmiechasz się? Jak nogi trzymasz? Sam rozpuszczony i uczniów rozpuścił! Czemu na ulicy mi się nie kłaniają? W Ekaterynodarze zmusiłem ich do kłaniania się atamanowi, policmajstrowi, komisarzom, oficerom. Nie uczyć należy, ale wychowywać! Ja za swoje cyrkularze odbieram pochwały od zwierzchności, a wy jak je spełniacie! Ze mną żartów niema! (Spostrzegłszy duchownego). Twoim, wyłącznie twoim obowiązkiem, ojcze duchowny, jest wychowywać dzieci. Częściej prowadź do cerkwi, ucz poszanowania władzy. (Spostrzegłszy wychowawcę w korytarzu). Jak się pan trzymasz? Jak stoisz? Ręce „po szwam!" Obcasy razem... Gdzieś uczniów podział? Widziałem ich tutaj! Zapisać nazwisko i — do aresztu!... To samo się powtórzyło w szkole technicznej. Tam oburzył się strasznie, że uczniowie jego głosu nie posłyszeli przy szumie maszyn i zagroził inżynierom, że ich powywiesza za rozpuszczenie uczniów. O system szkolny, o postępy i zdolności uczniów, o potrzeby szkół wcale się nie pytał.

Podobne wypadki opieki nad oświatą, wdrażania porządku i karności praktykują się coraz częściej, ku czemu dzielnie dopomaga Związek narodu rosyjskiego. Ale, biedny, kompromituje się coraz bardziej, traci powagę. Coraz częściej bowiem wychodzą na jaw szumowiny związkowe, coraz częściej śród stowarzyszonych wychodzą na widownię tacy ludzie, którzy powinni zasiąść na ławie oskarżonych i w kryminale. W tych dniach aresztowano wice-prezesa oddziału kurskiego „związkowców". Wykryło się bowiem, że ten zacny obywatel, przewodnik patryjotów kurskich, zgwałcił dziewięcioletnią dziewczynkę i zamordował ją. Wykryto następnie, że to nie pierwsza jego ofiara. Oddawna już zwabiał do siebie małoletnie dziewczęta i dopuszczał się gwałtu, zmuszając następnie swoje ofiary do milczenia. Zasłużony ten obywatel nazywa się W. J. Rżawskij. Po aresztowaniu lud usiłował go zlinczować, ale władze zapobiegły temu. Rżawskiego zakuto w kajdany i osadzono w więzieniu.

Okazuje się tedy, że Związek narodu rosyjskiego jest zasilany nietylko przez zastępy prowokatorów, szpiegów, skrytobójców, ale miewa jeszcze na czele swych oddziałów zbrodniarzy najpotworniejszych. Oto są ludzie, którzy mają odbudować ojczyznę na podstawach niezachwianych!

Już widocznie i oni sami mają tego za dużo, bo wielu ludzi uczciwych, wciągniętych do związku przemocą lub podstępnie, zaczyna się wycofywać. Już nawet śród organów urzędowych czarnej sotni zaczyna się waśń domowa.

Pomimo to jednakże są jeszcze działacze niestrudzeni, którzy usiłują nowymi zastępami zasilać przerzedzone szeregi. W tym celu werbują członków śród włościan za pomocą środków demagogicznych (obietnic oddania ziemi pańskiej chłopom — w okolicach Koziatyna). Bywały wypadki wciągania ciemnego chłopstwa za pomocą środków represyjnych. Nie przywróciło to jednakże osłabionych wpływów czarnych secin, bo już nawet „prawi" zaczynają sarkać na szerzącą się ohydę. Upadł także Związek Archanioła, założony przez Puryszkiewicza. Prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości Związek „istinnych" będzie musiał się zreformować i zorganizować na nowo pod jakimś innym znakiem, jeszcze nie skompromitowanym tak dalece.

Niepowodzenia „związkowców" nie są wszakże zapowiedzią zagłady ich organizacji. W tej czy innej formie będzie się ona rozrastała szeroko, dopóki idzie reakcja z góry, a ta nie ustaje w swoim pochodzie, zagląda do wszystkich dziedzin życia, dzieli uczniów szkół średnich na lojalnych i nielojalnych, utrudniając tym drugim zdobywanie wiedzy. Wogóle stawia

---

ma skromną jest i prostą i nie lubi tych próżnych igraszek.

— I ma słuszność, — dodał Saturn,—albowiem zgodnie z naturą swą winna być zawsze nagą. Nic nie przejawia dobitniej i wyraźniej próżności świata tego niż te właśnie upiększenia i zabawki, którymi dzicy ludzie przystrajają uszy i nosy.

Książę wziął do ręki jedną z tych kosztowności.

— To brylant, — rzekł sługa, — cena jego... nie zdążył skończyć słów swych, gdy naraz krzyknął głośno: książę poprzez wentylator rzucił brylant do moża. Niby błyskawica zalśnił on w słońcu i z delikatnym drżącym dźwiękiem wpadł do wody. Książę i Saturn zaśmiali się jednocześnie zdziwieni. Wtem książę rzucił drugi brylant, potym trzeci, czwarty, garść całą, i padały do morza, jak gwiazdy, gubiące swą drogę na niebie. I oślepiony Saturn śmiał się głośno i radośnie, bowiem posiadał równie skromną i prostą duszę, jak i pan jego, i szybkim ruchem zagłębił obie ręce w stosie brylantów i sam też począł rzucać płonące gwiazdy. I padał taki deszcz rzęsisty blasków, że aż tęcza ukazała się nad powierzchnią wód, i rozległo się jakiś rozlewne, dziwne granie, niby melodyjny i strojny śpiew skowronka.

I naraz urwało się wszystko: pozostali z pustymi rękoma. Lecz Saturn szybko przyniósł zaimki, spójniki i wykrzykniki, wszystkie te drobne części mowy ludzkiej. Po kosztownościach padały one, jak głazy. I nie było widać tęczy, ni słychać trelów skowronka. Lecz i to się wkrótce skończyło. Książę i Saturn zaważyli, że wyrzucili do morza cały dobytek swój; ze wszystkiego, co wzięli ze sobą nic prawie nie pozostało. A jednak dusze ich poczuły pewną ulgę. Książę i Saturn naśmieli się dnia tego dowoli, lecz uśmiech radosny nie opuszczał warg ich. Bawili się, jak dzieci A teraz głęboki spokój zapanował w myślach ich. Gdy wyszli na pokład, spostrzegli, że i okręt na podobieństwo dusz ich znajdował się w tym błogim stanie uniesienia nadziemskiego. Ledwo dotykał wód.

Skoro noc nastała, i książę siadł u steru, Saturn, jak zwykle, przyniósł kilka słów i położył je u stóp pana.

Blask ziemi oświetlał morze.

Lecz i w tej nocy, jak i poprzednich, książę nie znalazł jeszcze tych słów, których szukała dusza jego, mimo to, że daleka światłość ognista bliskość ich wróżyła.

— Pragnę i mam nadzieję! — krzyknął książę Cyntji, — przynieś mi słowa te, albowiem zdaje mi się żem wszedł oto na drogę prawdy i że już dna duszy mojej dosięgam. I Saturn przyniósł żądane dwa słowa i niby relikwie jakieś święte, złożył z namaszczeniem u nóg pana. A książę spoglądał na nie noc całą, niezwykłe jakieś, niespokojne ognie płonęły w oczach jego. O świcie jednak oczy przesłoniły się szarą mgłą i książę, schwyciwszy nagle owe dwa słowa, rzucił je z rozmachem do wody.

A wnet potym Saturn usłyszał głuchy huk, po którym nastąpiły potężne strzały gromów. To samego Boga książę strącił w bezdeń morską.

Panie! — krzyknął przestraszony Saturn, — Pa-

przeszkody na drodze jako tako zdrowego i normalnego rozwoju społeczeństwa, co się daje spostrzegać między innymi w coraz częstszym odmawianiu legalizacji różnych związków i stowarzyszeń, nawet najniewinniejszych.

Reakcja także ciężko się odbija na położeniu wygnańców politycznych. W tych dniach *Riecz* zamieściła korespondencję o smutnym położeniu wygnańców w Ustjugu (gub. Wołogodzka). Skazańcom politycznym nakazano noszenie ubrania tylko z sukna aresztanckiego. Niedawno przy wypłacie przypadającej im sumy rządowej wytrącono kilkunastu osobom pewną kwotę za to, że poszły na widowisko teatralne. W Solwyczegocku nie wolno wygnańcom mieszkać w większej liczbie niż po 2-ch lub 3-ch. Wogóle położenie skazańców politycznych jest nad wyraz ciężkie. Czytamy o tym bardzo często w prasie rosyjskiej; zaznaczano to również w Dumie, ale stan rzeczy ani na odrobinę się nie zmienia. System „uspakajania" kraju jest daleki od jakichkolwiek ustępstw a przy centralizacji władzy, rośnie z dniem każdym władza zdecentralizowana, autonomiczna funkcjonarjuszów pojedynczych „rządzących się „*licznym usmotrienjem.*" Stąd taka rozmaitość sposobów i systemów represji. Dawniej chłop rosyjski mawiał: *Boh wysoko a car dalioko*! W tych słowach wyrażała się cała beznadziejność ludu, wyjętego z pod prawa a oddanego na *usmotrienje* władz miejscowych i cyrkularzy, obchodzących prawo. Dziś, w dobie reakcji system ten wrócił znowu w całej pełni i jak gdyby usiłuje powetować stracony czas burzy rewolucyjnej, w taki sam sposób, w jaki fabrykanci usiłują „odbić" z naddatkiem swoje ustępstwa, poczynione na rzecz robotników pod naciskiem.

Paweł Krzyżanowski.

Z życia Japonji.

Po długim 15 letnim pobycie w Tybecie sławny podróżnik szwedzki D-r Swen Hedin pojechał zobaczyć cudowny kraj „wchodzącego słońca". Wybrał on ten kraj, który go dawno już nęcił, po otrzymaniu zaproszenia od Japońskiego Towarzystwa Gieograficznego, pomimo iż wiele innych zaproszeń czekało w Indjach niestrudzonego badacza środkowej Azji.

Podejmowano też za to w Japonji niezwykłego i czcigodnego gościa z nadzwyczajnym entuzjazmem. W całym szeregu uroczystości przyjmowały udział nie tylko naukowe stowarzyszenia i instytucje, lecz i ogół inteligientny i nawet rząd z dworem cesarskim. Mikado na posłuchaniu wręczył Swen Hedinowi order świętego skarbu I rangi. Towarzystwo Gieograficzne odznaczyło podróżnika godnością członka honorowego i medalem złotym, którego jeszcze nikt od niego nie otrzymywał. Dość dziwnym był zbieg okoliczności, że to samo Towarzystwo w początkach swej działalności dało pierwszy srebrny medal również szwedzkiemu podróżnikowi Baronowi Nordenskjöld (w 1879 r.), gdy ten zajechał do Japonji wracając ze swej podróży po Północnym Oceanie Lodowatym. Z tego powodu podczas jednej z mów wygłoszonych w Tokio Swen Hedin przyznał się, że właśnie Nordenskjöld obudził w nim pragnienie podróży do krajów niezbadanych. Uroczyste przyjęcia śmiałego żeglarza po morzach północnych w rodzinnym Stokholmie tak podziałały na młodego wówczas Swen Hedina, iż on wówczas postanowił wejść na tę samą drogę, którą potym szedł nie zbaczając 23 lata z wytrwałością człowieka północnej rasy. Przemawiając kilka razy do młodzieży Swen Hedin starał się wzbudzić w niej zamiłowanie do badań gieograficznych i kto wie, czy słowa jego nie wywarły skutecznego wrażenia na którymś z żółtolicych młodzieńców, a pole dla badań i odkryć nawet pozostaje jeszcze w tej dziedzinie nauki szerokie i bodaj nieskończone.

* * *

Chociaż w Japonji europejski kalendarz był przyjęty jeszcze w roku 1873, lecz on obowiązywał tylko państwowe instytucje, ludność zaś w prywatnym życiu wciąż korzystała ze starego księżycowego kalendarza i zwykle w różnych wydawnictwach były umieszczane obydwie miary czasu. Z tego powodu panowała stale plątanina, którą rząd postanowił usu-

---

nie, coś uczynił?! Zginiemy! Tyś precz odrzucił od się Boga! I jak zdołasz teraz bez Boga duszę swą wyrazić? To był ostatni rzeczownik, jaki nam pozostał.

— Saturnie, — odrzekł książę, — nie lękaj się, otchłań już znów śpi, już znów jest martwa; spokoju księżyca nie można takimi głupstwami zakłócić. Przecież do morza rzuciłem tylko słowo, bo wszystko to zresztą jeno słowa, słowa, słowa... Straciliśmy już rzeczy bardziej cenne i bardziej potrzebne: Miłość, Szczęście i Nadzieję nawet, a mimo to, żyjemy!

— Więc nam nic już nie pozostało,—westchnął Saturn.

— Idź! — rzekł książę. Idź na spód okrętu i szukaj; zanurz ręce w pleśni, kurzu i pyle. Może gdzieś ukryte istnieje jeszcze słowo jakieś.

I Saturn zniknął pod pokładem. I szukał w mroku.

Książę pozostał sam. Nadchodziła noc. W przestrzeni wszystko zamarło. Nie było czuć ani jednego tchnienia. Żagle zwisły nieruchomo wzdłuż masztów. I tylko w dali z bladego lazuru, niby zorza biała, wyłaniała się promienista ziemia wschodząca. Morze było równie spokojne, jak i powietrzne, i tak przezroczyste, iż najdalsze głębiny jego zdały się być jeno przestworzem przeczystym, poprzez które bez najmniejszego odblasku przelewała się falą nieskończoną światłość promienna. I spoczywał w śnie cudnym wizyjnym na dnie otchłani, jak welon srebrzysty, na nieruchomych czarownych kwiatach podwodnych usianych sznurami pereł. Okręt nad tym dalekim światem, ujętym w bajeczny obraz, sunął swobodnie, jak duch z więzów wyzwolony, jak gwiazda po mlecznej drodze niebiańskiej,

Było to morze Jasności.

Naraz.. w wiecznym milczeniu, książę usłyszał nieznany mu dotychczas głos. Szedł on z najtajniejszych głębin istoty jego i w pieśń przepiękną zaklęty, poprzez nabrzmiałą melodję pierś, podchodził aż do drżących warg. To była jego dusza.

I wszystko dokoła pełnym było wzruszenia nabożnego i cichej harmonijnej muzyki, jak las zielony co się o świcie wiosennym ze snu budzi.

Zjawił się Saturn. Na ustach jego błądził nikły uśmiech. W dłoniach, niby w misie kunsztownej, niósł jakiś mały lśniący przedmiot.

— Panie, — rzekł, — oto wszystko, co nam pozostało: ten drobny czasownik, który drży w rękach moich, niby łza boża, i trzepoce się, jak serce ptaka edeńskiego; to — „dążę". Panie, spójrz. Oto niosę go ku światłu...

I książę padł na kolana, ze zbożną pokorą złożył ręce i cicho powtórzył:

— Ku światłu... Dążę!...

KONIEC.

nąć zabroniwszy, począwszy od bieżącego roku, drukowania jakiejkolwiekbądź daty dla użytku szerokich mass według stylu księżycowego.

Ta stanowcza walka ze starymi uprzedzeniami i przyzwyczajeniami ludu wyda się dość dziwną, gdy się przypomni cały szereg faktów wręcz odmiennego charakteru, malujących rząd jako szermierza bardzo chętnie i niejednokrotnie usuwającego nowe cudzoziemskie wpływy... Tak np. w zeszłym roku jeszcze został zabronionym przekład powieści Zoli „Paryż" bez względu to, że były prezez ministrów Markiz Sajondzi przejrzał tłomaczenie i napisał przedmowę do niego. Partja dworskich konserwatystów wzięła jednak górę i na osobisty rozkaz Mikada minister spraw wewnętrznych skonfiskował książkę, jako szkodliwą dla porządku społecznego. Taki sam los spotkał przekłady Maupassant'a.

Wkrótce potym zabroniono wystawienia w teatrze sztuk Moliera z powodu iż one mają niby podkopywać to, czym się trzyma ustrój społeczny Japonji. Molier stara się, wegług zdania prokuratorji, obniżyć władzę ojcowską. Prawie w każdej sztuce dzieci kpią coprawda dobrodusznie z rodziców, płatają im figielki i korzystają z pomocy łotrowatych sług i przebiegłych pokojówek. Młodzież u Moliera zawsze ma słuszność, podwładni zaś bez należytego uszanowania zachowują się w obec swych przełożonych. Molier jest wielbicielem małżeństwa z miłości, a w Japonji miłość w małżeństwie nie gra wielkiej roli. Kobieta w sztukach Moliera jest przedstawioną zupełnie w innym świetle, niż to wynika ze stanowiska które zajmuje Japonka. Ona ma być zupełnie uległą swemu mężowi, w obecności jego nawet głośna rozmowa jest jej zabronioną, hałaśliwe sceny mu wyrządzane, i otwarte oszustwa są tedy nie dopuszczalne. By usunąć zgorszenie, które by się szerzyło przy popularyzowaniu pojęć zawartych w sztukach Moliera, rząd zakazał je grać gdziekolwiekbądź w Japonji. Skofiskowane też zostały przekłady Historji Anglji Macaulay'a i artykuły Lwa Tołstoja o rosyjskiej rewolucji. W obydwóch utworach rząd dopatrzył się szkodliwych dla Japończyków poglądów, mogących wstrząsnąć podstawami państwa.

Przypominam sobie rozmowę moją z dyrektorem, wzorowo prowadzonej prywatnej francuzkiej szkoły imienia św. Józefa w Yokohamie. Opowiadał mi on, że z początku do szkoły jego uczęszczały dzieci Europejczyków i Japończyków jednocześnie, lecz nie podobało się to rządowi japońskiemu, który nie chciał dla swej młodzieży zbyt wczesnego zetknięcia się z obcym elementem. Dano to zupełnie wyraźnie do zrozumienia kierownikowi szkoły i nastąpiło rozdzielenie szkoły na dwa zakłady — jeden jest teraz w Tokjo dla Japończyków, drugi w Yokohamie dla Europejczyków — otrzymały one prawa szkół rządowych. Ta dążność do przejęcia od Europejczyków kultury materjalnej i do zachowania jednocześnie ducha starej Japonji była już kilka razy zauważoną podczas nowego okresu historji tego narodu. Zwycięska wojna ponownie utwierdziła przodowników narodu w przekonaniu, w którym już zapoczęto się wahać, że świetny rozwój zawdzięcza naród japoński jedynie otrzymanym w spadku po uprzednich pokoleniach zaletom. Stąd też dwa — trzy lata temu rzucono hasło ożywienia starych tradycji samurajów, pielęgnowania sławnego męztwa, wierności i ofiarności dla dobra wielkiej ojczyzny. Kierunek ten poparli nie tylko zachowawcy, zawsze dowodzący, że to co się przeżyło jest lepsze od nowego, lecz cała massa wybitnych i sprzyjających reformom działaczy i pism. Rząd poszedł za ogólnym prądem i postanowił wszelkimi środkami ochraniać naród od idej, znajdujących się w sprzeczności z tradycjami przeszłości.

Postawić jednak tamę przenikającym z Europy nowym poglądom jest zadaniem nie łatwym, kto wie nawet, czy możliwym. Krańcowy naturalizm w literaturze rozpoczyna swe pierwsze kroki już na japońskiej swoistej glebie. Rząd zechciał dać nauczkę zbyt pewnym siebie autorom i jednego powieściopisarza Ikudę pociągnął do odpowiedzialności za jego powieść „Tokwaj", którą znawca Japonji francuz Ive de Karadec ocenia jako nudny i mdły romans, nie zdolny w Europie zwrócić na siebie uwagi. Czasopisma japońskie roztrząsały długo ten nowy dla nich temat. Zwrócono też uwagę, że sala sądowa podczas rozprawy sądowej była przepełniona kobietami. Dawniej płeć piękna nie kwapiła się na takiego rodzaju sprawy. Większość kobiet były to studentki. Nie jest to już typ skromnych, lękliwych i pełnych godności dziewcząt, z których byli dumni dawni Japończycy, a którymi tak się zachwycali przyjezdni europejczycy. Te nowej formacji emancypantki Japonji rażą ludzi starej daty tym, że nie krępują się w pokazywaniu się publicznie ze swymi kochankami („raba"). Ponieważ jednak i policja nie przyzwyczaiła się do nowych obyczajów, uprawianych przez znaczny odłam młodzieży, i nieraz jest dość srogą dla przechadzających się we dwoje młodych osób, to ci „raba" prędko zaczęli się przemieniać w starszych braci. Współpracownik jednej gazety siedząc na wspomnianym wyżej procesie zapytał siedzącą obok niego pannę, czy ona jest tu sama. „Nie, odpowiedziała bojaźliwie młoda dziewczyna, ja przyszłam tutaj z mym starszym bratem". „Ci starsi bracia, kończy swe uwagi japoński publicysta formalnie zaleli naszą stolicę".

Scena opisana przez Japończyka na nas europejczyków sprawi przygnębiające wrażenie. Czyż nie wskazuje ona, jak jeszcze poniżonym jest położenie kobiety w tym miłym i robiącym szybkie postępy w różnych dziedzinach życia społecznego kraju „Wschodzącego Słońca". Jednak daje się zauważyć, że ruch zmierzający do równouprawnienia obydwóch płci zdobywa wciąż nowe placówki i przestawiciele silniejszego rodu nie bez wahań lecz ze świadomością konieczności i korzyści dla całego społeczeństwa ustępują swym siostrom nowe sfery społecznej działalności.

Po długich debatach członkowie sądownictwa japońskiego uznali za korzystne dopuścić kobiety do pracy nad moralnym kształceniem odsiadujących w więzieniach karę różnych kategorji przestępczyń, ilość których w roku 1902 dosięgała 3,370 (nu 54,540 mężczyzn). Do tego zajęcia kobiety będą musiały specjalnie się przygotowywać w urządzonej w tym celu szkole przy buddyjskiej świątyni Chongandzi.

Na prowincji w mieście Koisikawa w przyszłym już roku ma się utworzyć drugi uniwersytet kobiecy, który da nowy i liczny zastęp kobiet zajmujących stanowiska nauczycielek w szkołach średnich i wogóle pedagogiczek, pracujących na tym polu z ogromnym powodzeniem i ogólnym uznaniem.

Bronisław Piłsudzki.

NA DOBIE.

Naiwne marzenia.

Konstatując „dziwne" zjawisko, że tylko „myśli bardzo jasne, proste, otwarte, ściśle oznaczone, ujęte w formułki krótkie i dla wszystkich przystępne mają powodzenie, dokonywują wielkich dzieł i rządzą światem"—pan hr. Rogier Łubieński pod wrażeniem świeżej wizyty czeskiej powziął taką myśl i obwieszcza ją w artykule wstępnym *Dziennika Powszechnego.* Wątpić jednak wolno, czy ona będzie kiedykolwiek rządziła światem, lub choćby „wielkich dzieł dokona".

Chodzi mu o stworzenie wielkiego międzynarodowego związku „cnoty i wzajemności słowiańskiej”, któryby wśród słowiańskich ludów apostołował wielkie hasła rewolucji francuskiej: „wolności, równości i braterstwa”.

Sprzężenie tych haseł z neoslawizmem zupełnie błędnie przypisuje p. Łubieński, dr. Kramarzowi. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że mąż ten zarówno jak p. Dmowski propagowali neoslawizm bez żadnych cnotliwie demokratycznych zastrzeżeń i tylko pod naciskiem delegacji postępowców polskich — uczestnicy zjazdu wraz z pp. Krasowskim, Filewiczem, Vergunem et tutti quanti — zdecydowali się raczej zaakceptować ten niewygodny i kłopotliwy komentarz do wszechsłowiańskiej ewangielji, niż rzucić całą jej księgę do kosza.

Nieznajomości dotychczasowego charakteru i przebiegu akcji słowiańskiej dorównywa bezgraniczna naiwność planów hr. Łubieńskiego na przyszłość, i zdumiewająca ignorancja stosunków politycznych, wśród których żyje i działać zamyśla.

„Związek cnoty i wzajemności” ma w myśl autora odbywać występy gościnne czyli zjazdy doroczne w różnych miastach i mieścinach rozsianych po Słowiańszczyźnie, od Petersburga do Zagrzebia, od Kaszub i Śląska, do Kamieńca, Sofji, Białogrodu od Mohylowa do Lwowa i t. p.

Pan Łubieński już dziś przewiduje, kto opłaci koszta tych zjazdów i koszta utrzymania komitetu, nie bierze tylko pod uwagę tych drobnych przeszkód, które mu przypomina *Przegląd Poranny*: „Zjazd na Kaszubach według nowej ustawy niemieckiej o stowarzyszeniach odbywałby się naturalnie w pięknej mowie Szyllera, Bülowa i kapitana z Köpenick; zjazdy w Serajewie, Zagrzebiu posiekaneby napewno zostały przez Węgrów na istny gulasz z papryką; w Mohylowie i Połocku skończyłoby się niezawodnie pogromami według kiszyniowskiej i białostockiej modły.”

Dodajmy jeszcze, że prawodawstwo państw, w których hr. Łubieński zjazdy odbywać proponuje, włączając w to pruskie i austryjackie, nie dopuszcza istnienia organizacji wykraczających poza granice danego państwa. To też należy przewidywać, że kwestja kosztów utrzymania proponowanego komitetu zostałaby odrazu rozwiązaną w sposób tani, choć niezbyt dogodny: mianowicie członkowie jego otrzymaliby bezpłatny choć ciasny lokal i utrzymanie „na kazionnyj szczot”.

Przegląd Poranny te majaczenia polityczne przypisuje upojeniu uroczystościami.

W naszych oćzach jestto raczej naiwne „głużenie” niemowląt politycznych, które ledwie przetarłszy zaspane oczęta przy gwarze polsko-czeskiej biesiady odrazu poczuły w sobie powołanie do „rządzenia światem” i „dokonania wielkich dzieł”.

Od pierwszego miejsca przy stole bankietowym do roli kierowniczej w narodzie — droga dla ich słabych nóżek zbyt jeszcze daleka.

Lokaut budowlany i lichwa mieszkaniowa.

Pierwsze lata zupełnego zastoju w przemyśle budowlanym przypadły na chwile wyjątkowego wyludnienia Warszawy. Strejki robotników budowlanych podniosły ceny pracy czysto teoretycznie. Uzyskano pomyślne warunki w zasadzie, lecz w praktyce nie było sposobności z nich korzystać, bo i roboty nic było.

Z chwilą, gdy Warszawa zaludniła się na nowo, właściciele kamienic puścili w ruch dawniejszą śrubę komornego z tym większym impetem, że zapragnęli powetować straty, poniesione w latach 1905 — 1906. Dzisiejsi lokatorowie muszą im płacić za tych, których wtedy nie było, bo albo wyjeżdżali zagranicę, albo dostawali mieszkania w lokalach rządowych; albo wreszcie przenosili się do odległych guberni.

Już w roku zeszłym odbywała się istna licytacja mieszkań, gdy warszawiacy powróciwszy z letnich wczasów szukali sobie daremnie dachu nad głową, bo nowych domów nie przybywało, a stare mieszkania zajmowano, kto pierwszy ten lepszy.

Wznowienie ruchu budowlanego stało się jedną z najpilniejszych gospodarczych potrzeb Warszawy.

Na obecnej lichwie mieszkaniowej tracą wszystkie warstwy ludności, najbiedniejsi zaś najwięcej, gdyż dach nad głową staje się coraz bardziej przedmiotem zbytku dostępnym tylko dla dobrze zaopatrzonych kieszeni. Korzystają zaś tylko kamiecznicy, którzy bez fatygi i nakładu, bez wydania grosza—choćby na reperację zamków lub wybielenie ścian — podnoszą swe dochody z miesiąca na miesiąc, w myśl zasady pana Feigenblatta: „Człowiek sobie śpi — a komorne sobie rośnie”.

W każdym innym, lepiej zorganizowanym społeczeństwie taki stan rzeczy nie mógłby trwać długo. Na głód mieszkaniowy tak samo jak na głód żywnościowy musiałaby znaleźć środki zaradcze akcja społeczna, z chwilą bowiem, gdy włóczęgostwo jest niedozwolone, gdy zwrot wstecz od osiadłego do koczowniczego życia nie jest ani zamierzony, ani pożądany, nie można się pogodzić z bezdomnością nieuchronną ludzi, którzy w Warszawie pracować muszą, a mieszkać w Warszawie nie mają za co.

Tymczasem ledwie tylko ów upragniony ruch budowlany budzić się zaczął, obiecując choć stopniową ulgę w ciężkiej doli zmuszonym do ciągłego koczowania lokatorom, już roboty stanęły z przyczyny nieporozumień między pracownikami a pracodawcami.

Ci ostatni zawiesili roboty chcąc wymóc na pracownikach 9-cio godzinny dzień roboczy, zamiast umówionego 8-mio godzinnego. Trudno dociec celu tych żądań wobec tego, że robotnicy płatni są od godziny i że—jak prosty rachunek wykazuje,—można uzyskać tę samą ilość pracy w tym samym okresie czasu nietylko przez przedłużenie dnia roboczego lecz przez zwiększenie ilości robotników. Ponieważ zaś nowych budowli w stosunku do lat dawniejszych powstaje jeszcze bardzo niewiele, armja zapasowa daleka jest od wyczerpania.

Inna sprawa, że — jak jednogłośnie twierdzą znający stan rzeczy — nasi robotnicy budowlani wydoskonalili do wysokiego stopnia sztukę zrobienia jak najmniej w jaknajdłuższym okresie czasu. Na to jednak przedłużenie dnia roboczego nic a nic zaradzić nie może. W każdym razie zatamowanie robót budowlanych jest klęską publiczną a uzdrowotnienie stosunków wywołujących tak anormalne zjawiska wspólnym obowiązkiem tych wszystkich czynników, które na nie oddziałać mogą.

Tu właśnie miałby wdzięczne i doniosłe zadanie jakiś sąd rozjemczy, który po dokładnym zbadaniu sprawy rozstrzygnąćby ją powinien obowiązująco i bezapelacyjnie, a przedewszystkim sprawiedliwic i bezstronnie.

Lokaut budowlany wobec zbliżającego się końca martwego sezonu i oczekiwanego powrotu warszawiaków na zimowe leże, musi wprost wywołać popłoch wśród tych, co na mieszkanie w nowych domach liczyli, a licytację mieszkaniową doprowadzić do gorączkowego tempa, do fantastycznych wprost granic. Jest to więc znowu woda na młyn kamieniczników, którzy i tak wśród naszych opłakanych stosunków ekonomicznych stanowią grupę uprzywilejowanych szczęśliwców, tych co to im nawet szydła golą, gdy innym brzytwy golić nie chcą.

A kto wie? Może ta pomyślna konjunktura nie jest czysto przypadkową? Toż przedsiębiorcy budowlani są u nas przeważnie i właścicielami kamienic, a niejeden z nich musiał dojść do prostego wniosku,

że taniej wypada śrubować komorne w gotowych domach, niż nowe budować.

Skarżą się oni, że robotnicy nie spieszą się z robotą, ale im samym również nie pilno. Wiedzą, że nawet wilgocią ociekające mury, nawet w chłodnych zimowych miesiącach zaroją się lokatorami, dla których dość szczęścia, gdy im będzie wolno własnymi płucami osuszyć nowe budowy, w oczekiwaniu, iż dokonawszy tej pracy staną wobec ultimatum dopłacania za zwiększoną zdrowotność a więc wartość ich siedzib lub daremnego szukania pod innym dachem mieszkania „ze wszelkimi wygodami" po możliwej dla nich cenie.

Gdzie i czego można się u nas nauczyć?

Komitet Wystawy Częstęchowskiej oddał wielką usługę społeczeństwu, wydając książeczkę pod powyższym tytułem. Brak źródeł informacyjnych dotyczących naszego szkolnictwa dotkliwie odczuwany był przez ogół, o czym w pierwszym rzędzie wiedzą redakcje pism pedagogicznych oraz stowarzyszenia nauczycielskie, do których niezmiernie często a bezskutecznie zwracano się po wskazówki i wyjaśnienia. To też już od paru lat myśl zgromadzenia pełnego wykazu naszych szkół ogólno kształcących i zawodowych kołatała się w różnych organizacjach. Mówiono o tym w Kulturze Polskiej, mówiono w Związku Nauczycielskim, układano nawet kwestjonarjusze i próbowano zbierać na nie odpowiedzi — wszystko to jednak rozbijało się o nadzwyczajną obojętność i bezmyślność naszego ogółu, który doskonale umie skarżyć się i wytykać różne braki i niedomagania, ale bynajmniej nie poczuwa się do obowiązku, by im zaradzić. Ten kto dla własnego lub dzieci swych wykształcenia poszukiwał informacji o istniejących zakładach naukowych — uznawał, że zebranie ich i uprzystępnienie ogółowi jest koniecznością. Kto posiadał dokładne wiadomości o jakiej szkole, zachowywał je dla siebie i zupełnie głuchym pozostawał na wezwanie, by się nimi z ogółem podzielił. W pierwszym rzędzie na zarzut ten zasługują kierownicy szkół, którzy przecież we własnym interesie winni rozpowszechniać wiadomości o swym zakładzie.

Ta niekulturalna obojętność i lekkomyślność ujawniła się i przy redagowaniu obecnego wykazu. Na 329 rozesłanych kwestjonarjuszy napłynęło tylko 238 odpowiedzi czyli mało co więcej niż $^2/_3$. Z pomiędzy odpowiedzi nadesłanych było jeszcze wiele niewyczerpujących. Pomijano nawet bardzo ważne pytania lub przysyłano odpowiedzi spóźnione. Ta okoliczność tłumaczy w znacznej mierze braki książeczki.

Należy się spodziewać, że po przełamaniu pierwszych lodów bezmyślnej obojętności — ogół zrozumie pożytek z tego rodzaju wydawnictwa i zbiorowym współdziałaniem postara się o uzupełnienie i rozszerzenie następnych wydań

W wykazie pominięto zupełnie szkoły elementarne. Jest to brak bardzo poważny. Redakcja wychodziła z założenia, że każda szkoła elementarna zaspakaja tylko potrzeby najbliższej okolicy, gdzie jest i bez drukowanych informacji dostatecznie znaną, że zatym chybia celu mozolne zbieranie danych o szkołach początkowych rozsypanych po całym kraju. Zdaniem naszym jest to błąd.

Gdyby nawet książka taka miała ściśle tylko znaczenie podręcznego przewodnika, to i tak pomieszczenie w niej szkół początkowych uznać by należało za rzecz niezbędną. W większych miastach jak Warszawa — rodzice biedni, lecz o oświatę swych dzieci dbali, często mieszkając o kilkanaście domów od dobrej szkółki początkowej, nie wiedzą ani o jej istnieniu, ani o warunkach i terminach zapisów i daremnie szukają wskazówek u sąsiadów i znajomych. Nie mniej ważne są wiadomości o szkołach na prowincji i na wsi dla tych, którzy zmuszeni opuścić mury miejskie lękają się, by przez to nie narazili swych dzieci na zupełne zaniedbanie.

Informator szkolny mógłby jednak spełniać pośrednio i drugie równie ważne zadanie, mianowicie stać się tymczasowym surogatem pełnej i ścisłej statystyki naszego szkolnictwa. Ta strona sprawy tak mało jest odczuwaną i rozumianą, że wielu z tych, co odpowiedzi nadsyłali, nie uważali za stosowne podać cyfry kształcących się uczniów. Również i cyfry budżetu szkolnego chętnie pomijano w odpowiedziach, stąd książka nie daje pełnego obrazu ani ilości szkół istniejących, ani liczby kształcących się w nich dzieci, ani sumy łożonej w naszym kraju na naukę i wychowanie.

Obok szkół rządowych wykaz obejmuje 218 szkół prywatnych z językiem wykładowym polskim, w tym jednak zamieszczono już wszystkie szkoły zawodowe i specjalne począwszy od seminarjów nauczycielskich aż do sal zajęć dla dzieci. Ścisły podział na szkoły ogólno kształcące i zawodowe utrudnia typ szkół mięszanych w rodzaju 7 mio klasowych szkół handlowych, w których przedmioty specjalne są raczej dodatkiem do ogólnego programu nauk.

Słusznie bardzo dołączono dla informacji krótki spis szkół zawodowych galicyjskich. Jest on również bardzo niepełny; zawiera zaledwie wykaz szkół najogólniej znanych.

Należy się spodziewać, że w przyszłości i ten dział rozszerzonym i uzupełnionym zostanie przez informacje, które kierownicy galicyjskich szkół zawodowych zechcą nadsyłać na ręce redakcji w swoim własnym dobrze zrozumianym interesie.

Informator szkolny powinien być wydawany corocznie przed rozpoczęciem roku szkolnego, z uwzględnieniem zmian, jakie w ciągu roku zaszły i stopniowym rozszerzeniem i pogłębieniem zawartych w nim wiadomości. Uzupełnienie go wykazem szkół początkowych może dałoby się osiągnąć przez rozsyłanie bezpłatne egzemplarza książki wszystkim nauczycielom, którzy o swej szkole wiadomość dokładną prześlą. Naturalnie, że wraz z rozmiarami powiększyłyby się i koszty wydawnictwa, sądzę jednak że może ono z jednej strony liczyć na bardzo szeroki popyt, z drugiej na materjalne poparcie właścicieli szkół, którzy przecież z czasem ocenią korzyść płynącą dla nich z tej racjonalnej, taniej a uczciwej reklamy.

Nizka cena książeczki (15 kop.) czyni ją dostępną dla każdego.

Władysław Bogusławski.

Dnia 18 sierpnia zmarł w Warszawie Wł. Bogusławski ukończywszy 70 lat życia. Jako krytyk teatralny, znawca teatru i literatury dramatycznej, Władysław Bogusławski był uznaną powagą. Nazwisko jego sprzęgło się ściśle z tradycją i historją naszej sceny. Dziad zmarłego, Wojciech Bogusławski był twórcą teatru polskiego, ojciec, Stanisław, autorem dramatycznym.

Od chwili wstąpienia swego na arenę publicystyczną w 1870 r. jako współpracownik *Gazety Polskiej* i *Kurjera Warszawskiego* zmarły poświęcił swe pióro scenie i sztuce dramatycznej. Młodość swą spędzał częścią na studjach uniwersyteckich najprzód w Petersburgu i Moskwie, potym w Paryżu i Heidelbergu — częścią na Syberji jako zesłany po 1863 roku. W r. 1876 był Bogusławski reżyserem dramatu i komedji, a choć po roku porzucił to stanowisko, praktyczna znajomość sceny zbogaciła go doświadczeniem, które spożytkował później w książce p. t. „Siły i środ-

ki naszej sceny", — drukowanej poprzednio jako szereg feljetonów w *Gazecie Polskiej.* Jestto najobszerniejsza i najwszechstronniejsza praca poświęcona sprawom naszego teatru.

Prócz prac poświęconych scenie i sztuce pozostawił Bogusławski jeszcze znaczną liczbę doskonałych przekładów cennych dzieł obcych oraz oryginalne studja literackie o Prusie, Quo Vadis, Ibsenie, Wojciechu Bogusławskim i t. d.

Od r. 1890 objął redakcją *Bibljoteki Warszawskiej*, w której aż do ostatnich czasów zamieszczał sprawozdania teatralne i muzyczne.

Gorące umiłowanie polskiej sztuki scenicznej, którą pragnął utrzymać na jaknajwyższym poziomie, zakreślając jej bardzo wzniosłe i poważne zadania, przez całe życie kierowało jego pracą i znalazło także wyraz w ostatnim artykule drukowanym w *Bibljotece Warszawskiej*, który w przeczuciu blizkiego swego końca — sam nazwał swym śpiewem łabędzim. Nieuleczalna choroba, która w ciągu kilku ostatnich tygodni szybko rozwijać się zaczęła, położyła kres życiu zasłużonego pisarza i dzielnego obywatela.

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Ochrona pracy w przemyśle domowym angielskim.

W ostatnich latach w całym szeregu krajów kulturalnych zauważyć się daje dążność prawodawstwa do walki ze stronami ujemnymi chałupnictwa. Liczne badania dowiodły bowiem jasno, jak na dłoni, iż osławiona — Hausindustrie jest prawdziwym biczem gospodarczego życia, jest ropiejącą raną na organizmie gospodarczym kraju i że jest źródłem nędzy i zwyrodnienia znacznej ilości jednostek ludzkich. Niezbyt dawno, w roku 1906, otwartą została w Berlinie wystawa wyrobów niemieckiego przemysłu domowego. Wystawa ta nietylko poruszyła do głębi różne warstwy społeczeństwa niemieckiego i w znacznym stopniu spowodowała powstanie projektu prawa o ochronie pracy w przemyśle domowym, lecz zarazem zmusiła i inne państwa do zajęcia się tą bolączką współczesności naszej i „wdrożenia śledztwa". Od tego czasu urządzono już wystawy wyrobów przemysłu domowego w Londynie, Sztokholmie, Paryżu i innych miastach. Ostatnio zaś projektują otwarcie takiej wystawy w jednym z miast Szwajcarji.

W Anglji system „wyciskania potu" (sweating system) niezwykle jest rozwinięty w pewnych gałęziach przemysłu. W 1906 r. założona została „Anti sweating League", która sobie postawiła za zadanie walkę z strasznymi wprost warunkami pracy chałupniczej, drogą agitacji i domagania się interwencji państwa w celu uregulowania płacy zarobkowej. Już na pierwszym swym zjeździe w 1906 r. liga toczyła rozprawy nad kwestją przeprowadzenia billu o minimum płacy zarobkowej. Energiczna agitacja „Anti sweating League" uwieńczona została powodzeniem. Dnia 24 marca 1909 r. na posiedzeniu izby gmin minister handlu Churchill wniósł projekt do prawa, dotyczący uregulowania warunków pracy i ustalenia minimalnej płacy zarobkowej w tych gałęziach przemysłu, gdzie istnieje i niepodzielnie panuje „Sweating system". Istota projektu do prawa zasadza się na następujących wytycznych: Powołują się do życia specjalne rady przemysłowe, początkowo tylko dla 4 gałęzi przemysłu, z najsilniej rozwiniętym wyzyskiem: 1) konfekcyjnej, 2) wyrobów tekturowych, 3) wyrobu koronek i haftów, 4) wyrobów krawieckich. Ciekawym jest, iż ustalenie *minimum* płacy zarobkowej dotyczy nietylko pracy domowej, ale i fabryki i warsztatów, wymienionych powyżej 4 specjalności. Do rad przemysłowych wchodzą przedstawiciele pracodawców i robotników w równej liczbie. Prócz tego dla każdej gałęzi przemysłu rząd wyznacza 3 członków z urzędu, otrzymujących pensje rządowe i należących do składu nietylko biura centralnego, ale i miejscowych rad. Jeśli w jakiejkolwiekbądź gałęzi przemysłu pracuje dużo kobiet, to na jedną z płatnych posad rząd naznacza obowiązkowo jednę urzędniczkę-kobietę. Miejscowe rady przemysłowe określają minimum płacy zarobkowej dla różnych gałęzi przemysłu danego okręgu przemysłowego i komunikują swą uchwałę centralnej radzie przemysłowej. W pierwszym półroczu określona przez rady norma płacy nie obowiązuje przemysłowców, lecz żaden z nich nie może otrzymać dostaw rządowych lub też municypalnych, jeśli nie akceptuje uchwały rady przemysłowej. Po upływie 6 miesięcy od chwili ogłoszenia uchwały, ministerjum handlu ma prawo uczynić ją obowiązującą dla tej gałęzi, przemysłu, dla której ją wydano, i od tej chwili nad wykonaniem jej ma pieczę specjalna inspekcja. Funkcje inspekcji tej polegają nietylko na pilnowaniu, by ustanowione minimum płacy zarobkowej nie było omijane, lecz i na wglądaniu w sanitarne warunki pracy w fabrykach i mieszkaniach prywatnych.

Projekt rządowy uzyskał sympatje i gorący poklask ze strony olbrzymiej większości izby gmin. Wodzowie partji robotniczej, za wyjątkiem jednego Macdonalda, który dopatrywał się w projekcie rządowym pierwszych kroków ku protekcjonizmowi, w gorących swych przemówieniach stwierdzali swą solidarność z zasadniczą stroną projektu rządowego.

Niema wątpliwości, iż powyższy projekt rządowy w najbliższej przyszłości uzyska moc prawną, i że akt ten stanowić będzie jedną z wielu pamiętnych kart społeczno-politycznej działalności liberalnego ministerjum Asquitha.

Bolesław Rozstański.

LITERATURA i SZTUKA.

Pieśni ludowe Celtyckie, Giermańskie, Romańskie.

Spolszczył *Edward Porębowicz.* Lwów, 1909.

H. Altenberg.

Nietylko „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty" jest poezja ludowa, ale i skarbnicą mieszczącą w sobie nieprzebrane bogactwa i piękności. Lud jest twórcą, artystą, mówi w przedmowie Edward Porębowicz; język jego bliższy swego początku niż u klas oświeconych, nie stracił jeszcze charakteru obrazowego; wrażenia jego są bardziej bezpośrednie, łatwiej stroją się w kształt zmysłami pochwytny, posiadają plastyczność, którą następnie zaciera kultura lub bezduszne naśladownictwo. Jak w przeczystej krynicy w piosence ludowej odbija się więc nietylko stan duchowy, z którego bierze ona swój początek, ale i tło ogólne, na którym rozwija się ona, odrębność charakteru narodowego, różnice położenia gieograficznego, odmienność kultur, zwyczajów, nieba i krajobrazu.

Mroczna i chłodna Północ wyda epikę. Zrodzi się tam pieśń bohaterska, ponura saga lub wstrząsające pieśni czarodziejskie, „i nic dziw, dodaje p. Porębowicz, tam we mgłach i wichrze, w mroku puszczy, w oparach morza, w ciemnych i ciężkich obłokach, co wiszą nad smutną ziemią, w czarnej nocy, która zimą zabiera tam trzy czwarte doby, snują się i wychylają ku człowiekowi przerażające mary". Ale surowa tu przyroda zahartuje jednocześnie człowieka, każe mu być mężnym i silnym, albo chytrym i przebiegłym, nada mu cechy bohaterstwa, a pieśń utrwali następnie jego rysy i czyny i sama będzie ponurą ale potężną.

Przeciwnie na południu, gdzie przyroda cała usposabia człowieka do słodkich marzeń, fantastycznych rojeń i namiętnych uniesień, rozwinie się liryka. Będzie ona wykwintna jak hiszpańska *coplas* prze-

siąknięta kochaniem jak te niezliczne serenaty i stornelli toskańskie, w których kochanek mówi o sobie:

Gdyby westchnienia moje były żarem
Wszystkie bym źródła wysuszył na świecie,

albo w ten sposób spowiada się ze swych doświadczeń:

Stałem w ogrodzie w pierwszy dzień majowy
Zrywałem świeże kwiaty na zaraniu,
Dzika ptaszyna frunęła z dąbrowy
I rozprawiała głośno o kochaniu.
— Hej ty z Florencji maleńka ptaszyna,
Powiedz mi proszę, czem miłość zaczyna?
— Miłość zaczyna piosenką i graniem
A kończy płaczem i ukłopotaniem.

Piosenka staje się tu wyszukaną w formie wiersza i wyborze porównań, mieni się od przenośni, zdradza wysoką kulturę literacką; znajdujemy w niej strofki tak wykwintne, że zdają się one zadawać kłam swemu pochodzeniu: między hiszpańskimi *seguidillas* spotykają się naprzykład takie niezrównanej piękności zwrotki:

Kochanie jest ścieżyną
Tej zawiłości,
Że się tem bardziej gubisz,
Im idziesz prościej.

Albo:

Z kobietą w swej naturze
Cień się spotyka,
Idziesz przed nim, to goni,
Za nim — umyka.

Obok tych zasadniczych rysów pieśń ludowa odzwierciedli i utrwali w sobie z zadziwiającą dokładnością wszystkie cechy swego ojczystego kraju; jeśli ma się rozlewać po górach, podchwyci efekt echa, jeśli ma wtórować miarowym szmerom fali, zatrzyma jej rytm, gdy z wiatrem stepowym będzie musiała iść w zawody, przeciągać będzie i zawodzić jak on. Ale przedewszystkim karmić się ona będzie obrazami i przenośniami, które podsuwa jej bezpośrednie obcowanie z przyrodą, patrzenie się na nią i wczuwanie się w nią. I tak naprzykład, trudno nawet na chwilę przypuścić, by następująca piosenka toskańska mogła powstać gdzieindziej niż nad południowym morzem:

Piękniejszej rzeczy nie widziałem w świecie,
Niż twe źrenice błyszczące i duże:
Myślałem — lilje, a to róży kwiecie,
A to był okręt na morskim lazurze.
Myślałem lilje, – a to gwiazdy były,
Źrenice twoje to szły i świeciły.
Myślałem gwiazdy, a to były słońca
Barka, ładunek miłości wioząca.

W przedmowie do swego dzieła, którą tu pobieżnie streszczam, a którą właściwie należałoby powtórzyć w całości, jest ona bowiem najpiękniejszą kartką jaka dotąd została napisana o poezji ludowej, zwraca wreszcie p. Porębowicz uwagę na to, że niektóre tematy są wspólne poezjom ludowym wszystkich krajów, one zaś powtarzają się tylko tu i owdzie i przedstawia dwie teorje postawione dla objaśnienia tego zjawiska: prawo imigracji i t. zw. „teorję antropologiczną, przyjmującą możność samorzutnego powstawania pomysłów na różnych miejscach".

P. Porębowicz stara się pogodzić obie te teorje i twierdzi, że „baśń o wodzie żywej lub jabłkach hesperyjskich może pochodzić ze wspólności praazyjskiej; zaś powieść o fletni, skarżącej zabójczynię mogła z miejsca powstania wędrować po lądach i morzach", że każde z tych twierdzeń ma swe zastosowanie w pewnych wypadkach.

Ale czy w ten, czy w inny sposób uczone spory rozstrzygną kiedyś to pytanie, nigdy nie może tu być mowy o jakimkolwiek naśladownictwie; na tej glebie cudze, obce ziarno przyjąć by się nie mogło, bo nie znalazło by soków, które przy życiu utrzymaćby je były w stanie. By cudza ziemia przyjąć je mogła, czas i ludzie przetoczyć je wprzód muszą na swą modłę, przestroić w rodzinne krasy, przepoić tchnieniem własnej duszy.

Dlatego też pieśń ludowa stanowi najgłębszą i najciaśniej z duszą narodu związaną jego własność, skarbiec narodowy, z którego czerpać musi późniejsza twórczość poetycka.

Zdziwienie więc musi ogarnąć każdego, jeśli się pomyśli, że zaledwie sto lat temu zaczęto poważnie zajmować się odkopywaniem i porządkowaniem tych skarbów. W Polsce ruch ten jest jeszcze o wiele młodszym i nieliczni badacze polscy, którzy pozostawili ślad swej pracy na tym polu, jak Kolberg, K. Wójcicki, Z. Gloger i Karłowicz napoczęli zaledwie olbrzymi trud. Prócz tego brakło nam dotąd powołanych, którzy zapoznać by nas mogli z obcą poezją ludową, do badań ogólniejszych wprowadzić metodę porównawczą i własną naszą spuściznę w odpowiednim postawić świetle. Dlatego też dzieło, którym obdarzył nas p. Porębowicz, do tym większej obowiązuje nas wobec niego wdzięczności. Ale bo też nikt u nas nie był bardziej powołanym do podjęcia tego zadania, jak p. Porębowicz, który łączy w sobie zdolności poligloty z niezwykłym wyczuciem piękna i głęboką znajomością artystycznych środków naszej mowy ojczystej. Nie wiem, czy który naród może się pochwalić takim przekładem „Boskiej komedji" podjętym w nowszych czasach, jak ten który równocześnie niemal z przekładem pieśni ludowych dał nam p. Porębowicz; a te same cechy mistrzowstwa, które podziwiać trzeba w przekładzie arcydzieła Danta, znajdujemy również w omawianym tłumaczeniu pieśni ludowych. P. Porębowicz spolszczył je rzeczywiście, przysporzył je nam, nie ujmując im nic z ich rodzimego piękna, przetransponował niejako na inną skalę dźwięków obcego języka i nie naginając sztucznie własnej mowy, przeszczepił do niej piękno pod dalekim, cudzym rozkwitłe niebem.

Stefan Gacki.

Bolesław Prus: **Dzieci.** Powieść współczesna.

Bolesław Prus w literaturze i w życiu naszym zajął tego rodzaju stanowisko, iż chociażby napisać miał jeszcze cały szereg rzeczy równie słabych jak „Dzieci", to wartości jego w niczym to nie obniży i sławy jego nie przyćmi. Należy on do rzędu owych świątłych duchów, dobrych gienjuszy ludzkości, których niepowodzenia indywidualne na polu twórczości stają się krzywdą zbiorową społeczeństw. Gdy artyście psychologowi tej miary co Prus, nie uda się dzieło zamierzone, to w istocie niepowetowaną stratę ponosi cały naród. Znaczy to, iż będziemy o jedno uświadomienie społeczne ubożsi, o jedno posunięcie na drodze ku samowiedzy własnej ciemniejsi, mniej dojrzali. To też gasnący talent Prusa ostatnim błyskiem pożegnalnej myśli miałby prawo odrzec krytyce, ubolewającej nad chybioną pracą jego pióra: „Nie nademną płaczcie, ale sami nad sobą"!

Wielkość Prusa legła poza nim, jako gmach niewzruszony i trwały, legła nieprzebranym zbiorowiskiem sił żywotnych i kulturalnych. Dorobkiem jego myśli, pracą jego uczuć i wzruszeń karmiliśmy się latami, — i dzisiaj stały się one cząstką naszej istoty, jakoby zmysłem nowym wrażliwości i nowym organem oddziaływań.

Czy mamy rozbierać szczegółowo pomysł, budowę i fabułę powieściową „Dzieci"?

Wszystko, coby się dało w najobszerniej zakreślonej syntezie powiedzieć o tym ostatnim utworze, będzie niewspółmiernie małe wobec tego, co wogóle można rzecz o Prusie i o jego twórczości. Powieść ta

jest zreasumowaniem poglądów publicystycznych Prusa na przebieg i działania niedawnej rewolucji, obejmuje okres jej schyłkowy, okres upadku jej i atomizacji. Gdy cały szereg poetów i beletrystów — u nas: Daniłowski, Niemojewski, Sieroszewski, a w Rosji: Gorkij, Andrejew, Kuprin usiłowali burzę epoki przeżytej zawrzeć w obrazach grozy i tragizmu, oświecić piorunami natchnień i sięgnąć do głębin konieczności życiowych, aby pokazać bezdenny mrok rozpętanego żywiołu, Prus, z niezmąconą pogodą sympatji dla wszystkiego co ludzkie, osnuwa rzeczy i wypadki łagodną, świetlistą przędzą swej wyrozumiałej dobroci. Za dostateczne wyjaśnienie powstania ruchu, a tymbardziej upadku jego, Prus uważa ten jeden wyraz: „dzieci", — to jedno spostrzeżenie: „dzieciństwo".

Atoli bohaterstwo i poświęcenie się dzieci nie może w nas budzić entuzjazmu, nie może potęgować zapału, hartu i wielkości ducha: powoduje ono, przeciwnie, żal, ubolewanie i gorycz wyrzutów w sercu społeczeństwa, sprowadza uczucie żałoby i smutku; jątrzy pamięć wspomnieniem sił strwonionych, wiary rozbitej i nadziei zdeptanych. Poprzez taką właśnie żałobę i smutek patrzy Prus na dzieje owych kilku lat ubiegłych, krwawo przytomnych nam w pamięci. Stąd wyradza się ów niemilknący ani na chwilę w powieści ton dobrotliwie rodzicielskiej nagany. Prus dobrowolnie cofnął się poza ognisko walki; bezwzględny nakaz konieczności pokonał za pomocą obrachowanego prawdopodobieństwa przegranej. Dziejowy dramat lat ostatnich rozgrywał się poza nim, to też działalność pisarska Prusa w przeciągu lat onych pozostanie już tylko na marginesie historji. Nie był on duchem obecnym tam, gdzie zmagały się dwie siły wrogie; nie czuł furji szaleństwa i rozpaczy zgonu, ale gotów jest zawsze o tych rzeczach pogwarzyć, porozmyślać przy zapalonym kominku, w przyjaznej atmosferze refleksji skupionej i głębokiej. Oczy jego, znużone męką bolesnych wypatrywań, owe źrenice, które tyle tajemnic mądrych odnalazły w życiu i zamknęły je w sobie, dziś, nadwątlone pracą, przestają, poza krwawym oparem ofiar jednostkowych, dostrzegać ogromy zadań społeczno-rozwojowych. Nie zdoła on już, jak dawniej bywało, ogarnąć całego obszaru nędzy, poniewierki i krzywdy życia, ale zapłacze łzami skrytymi nad sercem ojca rozerwanym z bólu w owej chwili przedświtnej, gdy syn pod słupem skazańca rzuca ostatnie pozdrowienie ludziom, ziemi i niebu, na którym już nie doczeka się zorzy; — i po mistrzowsku wczuje się w niepokój myśli matczynych, i razem z nimi nasłuchiwać będzie o północy, za każdym odgłosem truchlejąc, czy nie zapuka ręka niewiadoma do drzwi, lub do okien. Z tragiedji społecznej wydobył i odtworzył Prus, to, czym serce jego nasiąkało powoli, długo, bezlitośnie: bezwzględny, miarowy łomot salw godzących w bezbronne piersi buntu i nagły urwany krzyk ofiar ginących w kamiennym grobie opustoszałych ulic.

I trzeba całej potęgi optymizmu Prusa i jego zaufania w siły nieśmiertelne życia, aby ponad tym obrazem zniechęcenia, prostracji, zawodu i katuszy zatknąć, pomimo wszystko trójzbawienny sztandar otuchy z przykazaniami „ideałów życiowych" prof. Dębickiego: „Przedewszystkim bądźmy użyteczni i doskonali, a potym dopiero stańmy się szczęśliwi!"

Wincenty Rzymowski.

Wojciech Szukiewicz: **O kremacji.** Str. 68. Warszawa 1909. Skład w „Księgarni powszechnej."

W Warszawie przed kilkoma miesiącami zawiązało się stowarzyszenie ludzi sympatyzujących z kremacją. P. Szukiewicz był duszą obrad tego stowarzyszenia. I broszurkę swoją p. Szukiewicz wydał właśnie w celu propagandy tej idei. Każdy chcący się dowiedzieć, dlaczego kremację uważają za dogodniejszą i higieniczniejszą od chowania w ziemi, znajdzie szereg argumentów nie do odparcia. Fakty przedstawione przez p. Szukiewicza mówią również, że i z punktu widzenia religji, kremacja nie jest w sprzeczności z dogmatami poszczególnych wyznań. Jeżeli ze strony duchowieństwa zjawiły się protesty, to tylko na skutek zrozumienia własnego interesu. Chodziło nie o religję, lecz o interesy. W r. 1886 Stolica Apostolska zabroniła urzędowo kremacji, ale w 1880 zezwoliła na spalenie ciała hr. Eugieniusza Silva Tarouca, gdyż umierający zapisał z tym warunkiem duże sumy na konwent Bonifratrów.

Widocznym więc jest, że urzędowe rozkazy były pominięte, a więc kremacja nie jest charakteru zasadniczo sprzecznego z dogmatami wiary katolickiej.

P. Szukiewicz na końcu swojej pracy wzywa wszystkich, którzy doniosłość kremacji rozumieją, by się szczerze tą sprawą zajęli.

Eustachy Czekalski.

Z MUZYKI.

W krótce po wyjeździe reprezentacji czeskiej wyruszy do Pragi i Filharmonja czeska. Sezon czteromiesięczny przeżyć, przegrać—rzecz to bardzo trudna. Trzeba oddać finezyjnie twórczość setek autorów, unikać powtarzania się, nie zatracić poczucia stylu i uniknąć maniery. Grając codzień przed różnorodnym audytorjum Bethowena i... Waldteufla — można, zatracić poczucie miary, linji! Zapobiega temu tylko rutyna, talent dyrygienta, który powinien nietylko czuwać nad wykonaniem, lecz poznać psychologję każdego z członków orkiestry. D-r Zemanek świetnie wywiązał się z zadania: orkiestra ulega jego batucie, chociażby wymagał najszybszego tempa, lub charakteru fuoco — a to zawdzięczając swemu wysokiemu umiarowi artystycznemu, unikaniu częstych efektów i ostrożnemu szafowaniu dynamiką. Pomimo niemuzykalności ogółu Warszawy, przyznać należy, że jednak jest spora ilość prawdziwych znawców muzyki, uważających *codzienne słuchanie* wyborowej orkiestry p. Zemanka za swój obowiązek.

O losach opery i Filharmonji nie zabieramy na razie głosu. Niech przejdzie okres ostatecznych przeobrażeń, układów, projektów. Jeszcze nic pewnego nie wiemy. Fitelberg obecnie kompletuje orkiestrę.

Antoni Miller.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Od dni konstytucyjnych aż po dzień dzisiejszy nie było ważniejszego politycznego momentu ponad te, które przeżyła Warszawa w ostatnich trzech dniach. Jest właściwością tego stanu rzeczy, w jakim prowadzimy nasze życie publiczne, że wyjątkowych trzeba okoliczności, aby powijaki z całunu ograniczeń policyjno-prawnych opadły na krótką chwilę dla przepuszczenia tchnień przemijających wolności.

Tak określa *Przegląd Poranny* przebieg „czeskich dni" w Warszawie. Istotnie — Warszawa przeistoczyła się na tę chwilę do niepoznania. Znikło ogólne przygnębienie, wszystkie twarze jaśniały radością, w odświętnych strojach cisnęły się tłumy wszędzie, gdzie goście czescy pojawić się mieli — z wszystkich piersi brzmiały jednogłośne okrzyki powitalne. Nic nie zamęciło spokoju publicznego, żaden dysonans nie zepsuł harmonijnego nastro-

ju, gdyż organizatorowie uroczystości wzięli na siebie obowiązek utrzymania tej „harmonji" i trzeba przyznać że im się to w zupełności udało, a Czesi ujrzeli nas nie w codziennej ciężkiej atmosferze, nie w szarym pyle, tłumiącym oddech swobodniejszy — lecz przystrojonych i „nastrojonych" świątecznie.

Goście nasi ze wzruszeniem przyjmowali te objawy radości i gościnności polskiej — odczuwając wszelako prywatny niejako charakter przyjęcia — odgadując, że o wielu kwestjach się nie mówi wcale — i że ten pozorny świąteczny nastrój, dalekim jest od swobody istotnej. Zorjentować się też musieli wiele wysiłków i ofiar ponieść trzeba było, by dojść choćby do tych skromnych rezultatów kultury, jakie u nas ujrzeli.

Świadectwem tego odczucia jest gorąca mowa d-ra Kadleca, profesora uniwersytetu praskiego;

My Czesi nie uważamy niczego za tak wielką przeszkodę rozwoju kulturalnego, jak brak dobrych szkół; jako przedstawiciel czeskiego uniwersytetu i Towarzystwa czeskich profesorów wyższych zakładów naukowych, życzę Wam żebyście w krótkim czasie otrzymali nietylko szkoły elementarne i średnie z polskim językiem wykładowym ale żebyście zdobyli waszą byłą Szkołę Główną polską, która choć istniała tylko krótko, potrafiła pokazać świetne wyniki swego istnienia.

Poseł Wł. Czech, jako kupiec mówi o praktycznych wynikach zbratania się dwu narodów i obiecuje pracować nad zainteresowaniem czeskiego kapitału, handlu i przemysłu dla Polski. Wreszcie zaznacza, że w Czechach przeważną siłę stanowi stan średni, t. j. rolnicy, kupcy i przemysłowcy — i tej sile Czechy zawdzięczają swe odrodzenie. Tego właśnie Polsce brakuje i stan ten zbudować w niej należy, wysyłając na naukę praktyczną polską młodzież do Czech. Dźwignięcie ekonomicznej kultury i ekonomicznej wzajemności, powinno być celem obu narodów słowiańskich.

Wobec tego słusznie mówi *Przegląd Poranny:*

zwrócić musiało powszechną uwagę, że na pierwszej zbiorowej uczcie szereg polskich toastowych mówców złożony był z samych utytułowanych nazwisk; jedynym wyjątkiem był pan Dmowski, który słusznie położył nacisk, że i naszego narodu przyszłość jest tylko w rękach ludu naszego.

Rzetelna to szkoda, że w obecnych festynach lud ten tylko do dekoracyjnych przeznaczony był celów.

Wysunięcie na pierwszy plan pp. Dembińskich, Czetwertyńskich, Broel-Platerów, prowadzenie naszych husyckich przyjaciół po nabożeństwach uroczystych, przypominanie im w toastach, że nasz patryjotyzm „przez katolicką pogłębiony kulturę", wyglądało trochę na rozmyślne podkreślanie różnic, dzielących naszą pańskość i nasz klerykalizm od czeskiej chłopskości i wolnomyślności. Delikatnie przypomniał wobec tego burmistrz Grosz, że gdy tysiące nieszczęsnych Czechów zmuszono za przekonania religijne do opuszczenia ojczyzny, w której w perzynę obrócono kościoły, i szkoły husyckie, nie gdzieindziej jak pod strzechą polską wolno było głosić ideje Braci Czeskich, wykwit czeskiej wiary i kultury". Zrobiliśmy od tego czasu o tyle postęp na gorsze, że dziś o wiele mniej jesteśmy tolerancyjni, niż Jagiełłowe pokolenie, — a nasi panowie nie tworzyliby już zapewne eskorty nowemu Hussowi na konstancyjski sobór.

Uwagi te są zupełnie słuszne. Bądź co bądź jednak całość uroczystości czeskich przeszła spokojnie i zostawiła na wszystkich sympatyczne wrażenie. Bytność czeskich gości będzie zapewne podwaliną poważnych korzyści na przyszłość, o której jednak dziś przesądzać trudno. Jeżeli ma być mowa o trwałości zawartej przyjaźni, to musi się ona oprzeć na silniejszych fundamentach, niż wspólne bankiety i toasty, my jednak przedewszystkim pamiętać powinniśmy, że, nie rachując na niczyją pomoc, musimy sami dla siebie budować nowe życie, sami w sobie znajdować musimy krzepiące źródła wytrwania — i owo hasło „sami sobie" będące hasłem czeskiego narodu, jest może najważniejszym, które od Czechów przejąć powinniśmy.

Przegląd Poranny donosi że został nadesłany telegram od moskiewskiego Towarzystwa Słowiańskiego następującej treści:

Moskiewskie Tow. Słowiańskie, które od czasów smutnych wydarzeń wrześniehskich wzięło sobie za główne zadanie pojednanie polsko-słowiańskie, z uniesieniem wita zbratanie polsko-czeskie. Tylko skierowanie się Polaków na drogę słowiańską sprowadzi spełnienie ideałów politycznych zdrowo myślących Polaków, choć niezbędnie trzeba, aby w tym celu powstrzymali swą prasę, swą młodzież od najmniejszych ekscesów przeciwsłowiańskich, — trzeba aby Polacy, zaniechawszy zgubnego systemu absentyzmu, uczestniczyli we wszystkich słowiańskich organizacjach, towarzystwach, zjazdach i wystawach, swą szczerością, braterskim stosunkiem względem wszystkich Słowian, zyskają wszystkie sympatje słowiańskie, które mimowoli zmuszą, by dano im to, czego im brak.

Niema powodów do przypuszczeń, iż szlachetny Monarcha Mikołaj II, który już unieśmiertelnił Imię swe stworzeniem konferencji haskiej i nadaniem konstytucji swemu narodowi, odmówi wówczas uczynienia dla Polaków tego, co Jego Wielki Dziad Wyzwoliciel uczynił dla Bułgarów. Niezbędnie potrzeba, aby rok 1910 jubileuszu słynnej bitwy grunwaldzkiej zastał Polaków, Rosjan i Czechów jak wówczas i pozostałych Słowian po przyjacielsku zjednoczonych jedną wielką ideją stworzenia dwuchsetmiljonowej Slawji, w której wszystkie narodowości słowiańskie będą korzystały z zupełnej samodzielności wewnętrznej, a będą jedynie związane dla odparcia wrogów zewnętrznych.

Pod tym telegramem podpisał się Prezes Artur Czerep Spirydowicz.

Powyższa odezwa jest materjałem do wielu, bardzo wielu komentarzy: jakież to szczęście dla Polaków, że w Tow. Słowiańskim w Moskwie posiadają tak wpływowych pedagogów, którzy z racji przyjazdu Czechów do Warszawy dali tak jasny i dobitny wykład, że jeśli dzieci będą grzeczne, to starsi będą zadowoleni, postawią im piątkę ze sprawowania, a nawet... kto wie? może i o nagrodę się postarają. Istotnie, bez tych rad zbawiennych, bez tych szczegółowych wskazówek, co czynić mamy, a czego się wystrzegać, nie wiedzielibyśmy wcale co począć i jak zastosować na naszym gruncie wyjałowionym przez represje wszelakiego rodzaju jedność neosłowiańską, tak szczerze nam wstrzykiwaną przez „starszych". Szkoda tylko, że w tej pedagogicznej elukubracji tyle się mieści ogólników; mianowicie radzi byśmy wiedzieć co znaczą tu przeciwsłowiańskie ekscesy?

Z prasy czeskiej.

* Specjalny korespondent z wycieczki czeskiej zamieszcza stale w popularnym młodoczeskim organie *Narodnich Listach* bardzo obszerne sprawozdania, cechowane dotąd nigdy niebywałym na szpaltach tego pisma krytycyzmem względem władz w Królestwie i ich stosunku do pierwszorzędnych potrzeb społeczeństwa polskiego. Między innymi pisze co następuje:

Chociaż przyjeżdża się na wystawę z tradycyjnym słowiańskim krytycyzmem a nawet sceptycyzmem, gdy się jednak widzi, ile drobnych i wielkich przeszkód miał komitet wystawowy do zwalczania ze strony biurokracji rosyjskiej, pozna się całą trudność sytuacji.

Częstochowa swoim zewnętrznym wyglądem i brakiem urządzeń (neupravnosti) nie czyni miłego wrażenia. Otwieramy szeroko oczy, gdy nam członkowie komitetu opowiadają, ile pracy kosztuje dostanie pozwolenia na postawienie z własnych miejskich funduszów ławek w ogrodzie publicznym. Półtora roku trwały starania o bruk na głównych częstochowskich ulicach. Na pół roku przed otwarciem wystawy starano się o poprawienie ulicy P. Marji, głównej arterji miejskiej, ocienionej starymi, pięknymi drze-

wami. Pozwolenie nadeszło na 3 dni przed otwarciem wystawy.

Następnie rozpisuje się korespondent o smutnym wrażeniu, jakie sprawia stan wojenny w mieście.

Widzimy, że system idealizowania naszych stosunków, stały i powszechny w prasie czeskiej, a szczególniej w *Narodnych Listach*, ustąpił miejsca trzeźwiejszej ocenie. Znamienne wnioski wysnuwają również *Narodni Listy* z niebywale serdecznego przyjęcia Czechów w Krakowie.

Nie stary, konserwatywny Kraków, lecz Kraków nowoczesny, ludowy swym entuzjastycznym przyjęciem dowiódł, obalając wszelkie wątpliwości, że już nie jest możliwą nadal przeciwsłowiańska i chłodna polityka Koła polskiego w Wiedniu. Trudno wytłumaczyć sobie w innym sensie całą tę owacyjną burzę, poprostu rewolucję myślową ludu polskiego, ktorej świadkami byli Czesi od chwili wstąpienia na polską ziemię.

KRONIKA.

— Znany z procesu o zabicie strażnika b. policmajster pabjanicki Jonin, skazany pierwotnie na 12 lat ciężkich robót a następnie uwolniony przez senat, został obecnie mianowany zarządzającym kancelarją w więzieniu petersburskim „Kresty".

— W Petersburgu, w kołach parlamentarnych mówią, że rewizyta członków obu izb prawodawczych Anglji nastąpi już w grudniu r. b. Oczekiwane jest przybycie 25 przedstawicieli izby lordów, i 25 deputowanych z izby gmin.

— *Prawit. Wiestn.* ogłosił, że w roku bieżącym w całym państwie rosyjskim wziętych będzie do wojska 456,636 popisowych.

— *Neue Fr. Presse* donosi ze sfer wojskowych, że zbrojenia i energiczne postępowanie Turcji ma na celu jedynie onieśmielenie Grecji na czas dłuższy, do wojny jednak nie doprowadzi Według wiadomości z Salonik na prowincji panuje ogromne wzburzenie, ludność żąda przyznania Krety Turcji, albo wojny z Grecją. Na ogół w Turcji panuje nastrój wojenny. W radzie ministrów zdania są podzielone. Wśród greckich kół dyplomatycznych w Konstantynopolu panuje b. pesymistyczny nastrój, rząd ulega wpływom wojskowym, „Sabah" doradza Grekom, aby zadowolnili się autonomją Krety pod zwierzchnictwem Turcji, bo Kreteńczycy nie mają się czego spodziewać od Grecji. Z Salonik donoszą, że rozpoczął się bojkot okrętów i towarów greckich. Władze otrzymały rozkaz, by do bojkotu nie dopuścić. Turecka eskadra w Smyrnie otrzymała rozkaz odpłynięcia w kierunku wyspy Karpagos, położonej o 40 mil od Krety. W klasztorach greckich w Salonikach wykryto znaczne składy broni.

— W Sztokholmie wśród robotników panuje silne rozdrażnienie, sytuacja staje się coraz poważniejsza, tem bardziej, że staje się jakoby jasnym, iż strejk się nie udał. Strejkujący są jednak zdecydowani wytrwać do końca, kosztem największych ofiar. Pomimo to z ogólnej liczby robotników, pracujących w zarządzie miejskim, 300 powróciło do pracy, 170 zaś strejkuje w dalszym ciągu. Prasa konserwatywna, liberalna i radykalna potępia strajk powszechny. Z prowincji dochodzą wieści o wznowieniu pracy w kopalniach i kilku fabrykach.

— Telegramy londyńskie pomieściły wiadomość, że przy wyjeździe statków wojennych Nelson i Victoria, odkryto najniespodziewaniej pod pokładem znaczne zapasy dynamitu. Najścilejsze śledztwo nie zdołało wykryć, jakim sposobem materjały wybuchowe przedostały się na statki i kto mógł mieć interes w wywołaniu straszliwej katastrofy. Opinja publiczna w Anglji jest silnie poruszona i podojrzywa, że zbrodniarzy szukać należy wśród Niemców. Śledztwem zajęli się najwybitniejsi detektywi angielscy.

— W Hiszpanji nie ustaje wrzenie rewolucyjne. Pod Alhuramas wre bitwa. Maurowie dotychczas z powodzeniem zdołali przeszkodzić wysadzeniu na ląd materjałów wojennych.

— W Wiedniu Niemcy z okazji zbiorowej wycieczki do Wachau w Dolnej Austrji urządzili we wszystkich miejscowościach wzdłuż Dunaju demonstracje antyczeskie.

— Korespondent petersburski *Berliner Tageblattu* donosi, że pogłoska o zaciągnięciu nowej pożyczki rosyjskiej w Anglji jest zupełnie bezpodstawną. Kapitały angielskie unikają wogóle pożyczek zagranicznych.

— Francja i Anglja nie chcą żadną miarą dopuścić do wojny grecko-tureckiej o Kretę. Okręty mocarstw opiekuńczych odpłynęły już do Krety, aby zmusić do usunięcia flagi greckiej Tymczasem kompanja uzbrojonych włościan weszła do Kanei i zajęła twierdzę postanawiając do ostatka flagi greckiej bronić.

— Konsorcjum belgijskie nabywa wkrótce od rządu część kolei północnej mianowicie odnogi z Wołogdy do Kobłusa i z Urocza do Wołogdy. Belgijczycy ocenili wszystkie te odnogi z taborem kolejowym na 870 miljonów rubli.

— W Szwecji bezrobocie trwa. Z obu stron nastrój jes wojowniczy i nie ma najmniejszej skłonności do ustępstw. Nie przystąpili do strejku urzędnicy i robotnicy kolejowi, pocztowi i telegraficzni, a pracownicy tramwajowi powrócili do pracy. Natomiast bezrobocie ogarnia nowe gałęzie wytwórczości. Wedle praw szwedzkich zmowy i strejki są dozwolone, a jedynie tylko strejki urzędników państwowych surowo karane.

— Z powodu bezrobocia w Szwecji odroczono kongres pokoju do następnego roku.

— Półurzędowe dzienniki niemieckie zapowiadają na najpierwszą sesję sejmu pruskiego żądania nowych zasiłków dla komisji kolonizacyjnej w dzielnicach polskich. Uchwalone w ubiegłym roku 250 miljonów marek już podobno wyczerpano na pokrycie dawnych zobowiązań komisji oraz nabycie i rozparcelowanie kilku nowych obszarów nabytych przeważnie z rąk niemieckich, czym zapewne tłumaczy się i skwapliwość komisji i wysokość cen przez nią płaconych. Dotąd dla braku środków (!) Komisja do akcji wywłaszczenia przystąpić nie mogła. Nowe żądania mają być poparte groźnym obrazem ekspansywności Polaków, którzy rzekomo coraz liczniej nabywają majątki ziemskie na Śląsku. Kolonizacja do końca 1908 r. osiedliła w dzielnicach polskich 15,143 kolonistów z których 7,800 sprowadzono z Niemiec — 3,662 z Rosji i Austrji, a 3,681 już zdawna mieszkało w tych dzielnicach. Wraz z rodzinami przyrost niemiecki wyniósł 94,000 głów, a wraz z kupcami i rzemieślnikami, którzy się tu osiedlili, dochodzi do 113,000 głów. Osiedlenie tych pionierów giermanizacji w ziemiach polskich kosztowało dotychczas pół miliarda marek.

— Na żądanie ministerjum spraw wewnętrznych, które przystąpiło do opracowania nowych przepisów o prostytucji, zebrano dane dotyczące tej sprawy w Królestwie Polskim. Według urzędowych danych liczba kobiet zaregestrowanych jako trudniących się nierządem w Warszawie i na przedmieściach wynosi 45,000.

— Na łamach gazety *Riecz* ogłoszono wyniki ankiety w sprawie położenia zesłańców politycznych. Z 218 osób, co do których zebrano dane, 110 było Rosjan, 40 żydów, 24 Polaków, 24 Łotyszów, 13 górali kaukaskich. 53 procent zesłańców niema lat 25 a 16% jest nieletnich. Inteligiencja stanowi 28%, robotnicy 55%, handlowcy 11%. Każdy z 218 zesłańców przesiedział 15 miesięcy w więzieniu, a ogółem 218 osób spędziło w więzieniu lat 2,682.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Włodzimierz Perzyński: „Nowele". Lwów, nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa E. Wende i Sp. (Hiż i A. Turkół) 1909.

— Platon: „Uczta". Djalog o miłości, przełożył, wstępam poprzedził i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Lwów 1909 r. nakładem księgarnji Polskiej B. Połonieckiego.

— Jakób Leopardi: „Myśli". Przełożył z włoskiego Józef Ruffer. Lwów 1909 r., nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego.

— St. Brandowski: „Moja menażerja". Obrazki, szkice i humoreski. Lwów, nakładem księgarni J. Maniszewskiego, Warszawa E. Wende i Sp.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka